XVI—5 MAJ 1938

SZKOŁA CHRYSTUSOWA

MIESIĘCZNIK

JAKA JEST ŁASKA SAKRAMENTALNA KOMUNII ŚW.

Sakramenta św. udzielają nam prócz łaski uświęcającej (lub pomnożenia jej) tzw. łaskę sakramentalną. Niełatwą jest rzeczą określić dokładnie, co to jest łaska sakramentalna. Bez wątpienia polega ona na pewnej mocy, jaka dochodzi do łaski uświęcającej, kiedy ją przyjmujemy przez sakrament. Chrystus bowiem ustanowił sakramenta św. w tym celu, by przez nie łaska płynęła z Jego św. Człowieczeństwa do dusz naszych z szczególną mocą, odpowiadającą zadaniu, jakie poszczególne sakramenta mają spełnić w naszym życiu duchownym. Dzięki łasce sakramentalnej każdy z Sakramentów św. daje nam szczególnego rodzaju uczestnictwo w męce, śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa Pana.

Pytamy tedy, jaka jest łaska sakramentalna Komunii św.?

Kościół jest organizmem żywym; stąd wszystkie jego komórki, członki i organa podlegają prawu ustawicznego rozwoju. Ten organiczny zaś rozwój Kościoła jako żywego Ciała mistycznego dokonywa się przede wszystkim dzięki ofierze eucharystycznej oraz mocą uczty ofiarnej, tzn. Komunii św. Podobnie jak materialne organizmy rozwijają się dzięki pokarmowi, który wprowadza do organizmu świeżą siłę życiową, tak duchowy i nadprzyrodzony organizm, jakim jest Kościół, rozwija się dzięki duchownemu i nadprzyrodzonemu pokarmowi, który jest zdolny wprowadzić do organizmu świeże nadprzyrodzone siły życiowe. Tym nadprzyrodzonym pokarmem jest sam Chrystus, żywe Ciało Chrystusa.

Pokarm winien odpowiadać organizmowi, jaki ma odżywiać: pokarm materialny służy życiu materialnemu, pokarm duchowy krzepi życie duchowe, wreszcie pokarm nadprzyrodzony zasila życie nadprzyrodzone. Stąd oczywista, że właściwym pokarmem organicznym dla mistycznego Ciała Chrystusa może być tylko substancja kryjąca w sobie wirtualnie, jakoby w źródle, nadprzyrodzone, mistyczne życie. Jedyną zaś substancją posiadającą w sobie życie łaski i będącą źródłem tego życia dla innych, jest sam Chrystus, Bóg-Człowiek i Głowa Ciała mistycznego. Dzięki swej ludzkiej, cielesnej naturze Bóg-Człowiek nawiązał z nami więzy jedności gruntujące się na tożsamości ludzkiej natury tak, iż może wraz z nami tworzyć jedną całość organiczną. Ludzka zaś natura Chrystusa posiada dzięki osobowemu

zjednoczeniu ze Słowem pełnię łaski, zarówno dla siebie, jak i dla wszystkich komórek i członków mistycznego organizmu. I dlatego ona jedna może być źródłem organicznej siły żywotnej, ona jedna może być nadprzyrodzonym, mistycznym pokarmem odżywiającym wszystkie cząstki Ciała mistycznego. Ludzka natura Chrystusa zstępuje w ofierze ołtarza, ukryta pod postaciami sakramentalnymi, w łono Kościoła na to, by dzięki ofierze sakramentalnej stać się źródłem życia dla nadprzyrodzonego organizmu, jakim jest Kościół — Ciało mistyczne. Akt ofiary sakramentalnej, będący źródłem życia łaski dla całego organizmu Kościoła, równocześnie przysposabia pokarm życiodajny dla poszczególnych komórek mistycznego Ciała.

Na tle powyższych uwag rozumiemy lepiej, jakie jest znaczenie Komunii św. oraz jaki jest najwłaściwszy skutek tego sakramentu. Dzięki Komunii św. otrzymujemy dopływ świeżego życia nadprzyrodzonego w sposób najdoskonalszy. W Komunii św. bowiem dokonywa się niewidzialne zesłanie Syna Bożego za pośrednictwem ludzkiej natury przyjętej do jedności osoby Słowa. Dzięki swej naturze ludzkiej Syn Boży staje się chlebem żywota, kiedy tę ludzką naturę zjednoczoną z Bóstwem ukrywa pod postacią chleba. Z zesłaniem zaś Syna Bożego łączy się zesłanie Ducha św., którego pochodzenie od Syna znajduje symboliczne przedstawienie w potoku ofiarnej krwi tryskającej z Serca Boga-Człowieka. A wiemy, że niewidzialne zesłanie (Syna i) Ducha

św. do dusz naszych sprawia w nas wzrost życia nadprzyrodzonego.

Komunia św. jest wybitnie Sakramentem wzrostu życia nadprzyrodzonego, rozwoju jego i jego pełni. Życie zaś nie jest stanem, lecz raczej aktem. Akt życia nadprzyrodzonego polega na coraz ściślejszym zjednoczeniu z Chrystusem-Głową, na coraz doskonalszym życiu z Chrystusa, na mistycznej przemianie człowieka w Chrystusa. To organiczne zjednoczenie z Chrystusem-Głową dokonywa się przez łaskę i miłość aktywną, przez akty miłości. W żarliwych aktach miłości ujawnia się organiczne życie w Chrystusie i z Chrystusa w dojrzałej pełni. Toteż nadprzyrodzony pokarm duszy, Komunia św., potęguje i rozwija nasze życie wewnętrzne nie tylko przez to, że daje wzrost łaski i miłości, ale przede wszystkim przez to, że rodzi w duszy gorliwe akty miłości. W Komunii św. Chrystus oddaje się duszy bez zastrzeżeń i sprawia, że i ona bez zastrzeżeń Jemu się oddaje przez aktualną, żarliwą miłość. Łaską więc sakramentalną, jaką daje Komunia św., jest wzrost łaski uświęcającej oraz miłości rozniecónej do żarliwego aktu, do żywego, aktualnego oddania się Chrystusowi. Komunia św. sprawia, że dusza oddaje się Chrystusowi, z Nim się jednoczy i w Niego mistycznie się przemienia przez aktualną gorliwą miłość, *per fervorem caritatis,* jak św. Tomasz częstokroć powtarza.

Stąd oczywista, że Komunia św. nie tylko wynosi nas do wyższego stanu łaski, ale ponadto pobudza do czynu pochodzącego z łaski, rodzi

czyn z miłości, tj. sprawia miłości pełne oddanie się Chrystusowi. Można powiedzieć, że Komunia św. nie tylko daje łaskę i miłość, ale — czego inne sakramenta nie działają — sprawia równocześnie, że korzystamy z łaski, żyjemy z łaski i miłości, spełniając gorliwe akty miłości pełnego oddania się Chrystusowi. „Mocą tego Sakramentu, uczy św. Tomasz, dokonywa się przekształcenie człowieka w Chrystusa przez miłość; na tym zasadza się właściwy skutek jego... Pomnaża on nie tylko łaskę uświęcającą, ale roznieca żar (fervor) aktualnego oddania się Bogu" (In Sent. IV, dist. 12, q. 2, a. 2). Stąd słuszna nazwa *sakramentu miłości.* A ponieważ miłość jest samą istotą doskonałości, dlatego Komunia św. jest Sakramentem, który, o ile to od mocy jego zależy, prowadzi do pełni doskonałości. Powiadamy: o ile to od mocy tego sakramentu zależy; wzniecenie bowiem żarliwego aktu woli (miłości) jest rzeczą wolnej woli; wszelki wewnętrzny postęp wymaga dobrowolnego współdziałania człowieka. Toteż nadprzyrodzone działanie łaski wymaga odpowiedniego przygotowania i usposobienia duszy jako warunku, od którego zależy jej skuteczność. Podobnie jak ogień rozpala drzewo, ale wówczas tylko, jeśli jest suche, tak łaska nie roznieci w duszy gorliwego aktu miłości (fervor caritatis), jeśli człowiek dobrowolnie nie przysposobi duszy swej na działanie łaski. To przysposobienie czyli odpowiednie usposobienie odnosi się do chwili przyjęcia Komunii św. Uprzednie przewinienia, jeśli się od nich od-

wracamy przez żal, nie tamują działania łaski; natomiast niedbalstwa, które popełniamy przy przyjęciu Komunii św. lub które popełniliśmy uprzednio, zachowując do nich jakieś przywiązanie, sprawiają, że Komunia św. nie rodzi w nas pełnego owocu miłości, jaki przez się zrodzić może i powinna; tamują one przypływ uczynkowej łaski, którąby wznieciła żarliwy akt miłości. Niedbale przyjęta Komunia św. sprawia wprawdzie wzrost (choć słaby) łaski uświęcającej, ale nie daje tego posilenia wewnętrznego przez aktualną, gorącą miłość, jakie przez się dać powinna. Tym się tłumaczy, dlaczego u wielu, co przystępują często do Komunii św., nie widać postępu duchowego; stan łaski uświęcającej wzrasta — choć słabo — w ich duszach, wszelako przytłumiony jest aktualny, czynny rozwój miłości i, co za tym idzie, wszystkich innych cnót. Mimo częstej Komunii św. chorują oni na niebezpieczny zastój życia duchowego. Inaczej ci, którzy starają się o najlepsze przygotowanie do Komunii św. W ich duszach łaska sakramentalna Eucharystii roznieca aktualną, gorącą miłość, dzięki której jednoczą się oni coraz ściślej z Chrystusem i coraz bardziej żyją z mocy Jego, coraz doskonalej przemieniają się mistycznie w Chrystusa. To mistyczne przekształcenie się w Chrystusa dokonywa się w chwili przyjęcia Komunii św. Wówczas bowiem otrzymujemy wzrost łaski uświęcającej i miłości oraz łaskę uczynkową wzniecającą żar miłości. A gdy po Komunii św. wracamy do codziennych prac, towarzyszy

nam łaska uczynkowa i pomaga nam wzbudzać jak najczęściej gorliwe akty miłości, przez które na nowo jednoczymy się z Chrystusem i mistycznie Weń się przemieniamy. Komunia św. bowiem, jak powiedzieliśmy, pomnaża cnotę miłości w ten sposób, iż ma ona (cnota miłości) jakby „tendencję“ do żarliwych aktów miłości, a nam daje prawo do łask uczynkowych, z których pomocą możemy przy dobrej woli spełniać gorliwe akty miłości.

Z wymienionego najwłaściwszego skutku Komunii św. wynikają dalsze jej owoce: ochrona przed ciężkim upadkiem, oczyszczenie z win powszednich, radość duchowa. Nie mamy jednak zamiaru zatrzymywać się nad nimi; raczej zwróćmy uwagę na trudniejsze zagadnienie, które się nasuwa, kiedy mówimy o żarliwych aktach miłości.

Co to znaczy żarliwy akt miłości? Na czym polega gorliwość aktu?

Wzrost miłości jako cnoty polega na tym, że opanowywa ona coraz doskonalej wolę udzielając jej większej wewnętrznej jedności w stosunku do umiłowanego przedmiotu. Jeśli więc chodzi o cnotę miłości Bożej, to wzrost jej zasadza się na tym, że umacnia ona coraz bardziej wolę w stosunku do Boga. Im bardziej cnota miłości wzrasta, tym silniej wola w samej istocie swej jest zwrócona ku Bogu.

Jeśli tedy napięcie miłości aktualnej, czyli aktu miłości, większe jest od stanu miłości habitualnej, czyli od miłości jako cnoty, wówczas

mamy żarliwy akt miłości; jeśli natomiast spełniamy akt, przy którym aktualne napięcie miłości mniejsze jest od stanu miłości, wówczas wykonywamy akt miłości oziębły i popełniamy niedoskonałość.

Lecz kiedy, pytamy dalej, napięcie miłości aktualnej przekracza stan miłości habitualnej? Innymi słowy, jaka jest właściwa cecha gorliwego aktu miłości; na czym polega natężenie aktu woli i miłości? To jest trudne zagadnienie. Oto jak odpowiada na nie św. Tomasz:

Człowiek jest panem swych czynności; dlatego może on działać posługując się całą mocą, która tkwi w jego naturze, lub też częścią mocy, którą posiada (In Sent. I, dist. 17, q. 2, a. 3, c.). A kiedy człowiek działa posługując się całą mocą, którą posiada? Innymi słowy: kiedy akt miłości odpowiada natężeniu cnoty miłości Bożej?

Klucz do rozwiązania tego trudnego zagadnienia podaje św. Tomasz, odpowiadając na pytanie, czy miłość Boża powinna obejmować także sam akt miłości, z jakim człowiek odnosi się do Boga. Odpowiedź, jaką daje, jest twierdząca (S. Th. II-II, q. 25, a. 2): Miłość Boża nadprzyrodzona jest pewnym rodzajem miłości. Miłość zaś posiada dzięki duchowej naturze władzy, do której jako akt należy, zdolność, iż może zwrócić się ku samej sobie. Przedmiotem bowiem woli jest dobro ogólne; stąd wszystko, co wchodzi w zakres pojęcia dobra, może być przedmiotem aktu woli. A że samo chcenie jest pewnego rodzaju dobrem, dlatego wola może chcieć własne chcenie swoje.

Więc i miłość, raczej akt miłości, może dzięki własnej swej naturze zwrócić się do samego siebie. Kto miłuje, może miłować własny akt swej miłości, własne miłowanie. Jeśli to czyni, wówczas wykonywa on żarliwy akt miłości. Gorliwość zatem miłości polega na tym, że miłujemy Boga oraz naszą miłość Bożą, że mamy upodobanie w naszej miłości ku Bogu. Podczas kiedy miłość jako taka, tzn. jako ocena Boga — Dobra najwyższego, nie może doznać wzrostu, to miłość Boża co do napięcia aktu, czyli pod względem żarliwości, może i powinna wzrastać. Napięcie zaś aktu miłości zasadniczo polega na natężeniu woli, kiedy ona własne umiłowanie miłośnie obejmuje, coraz silniej je rozpala, w nim ma upodobanie jako w najwznioślejszym, najdoskonalszym wyrazie i czynie swego wewnętrznego życia.

Widzimy tedy, na czym polega intensywna miłość i, co za tym idzie, intensywne, gorliwe życie wewnętrzne. Jest ono pełnią, która wzbiera we woli dzięki refleksyjnym aktom miłości. Dostrzegamy tutaj w życiu naszym wewnętrznym jakoby odblask wnętrznego życia Trójcy Przenajświętszej. Podobnie bowiem jak Ojciec i Syn mocą wzajemnej miłości, jaką się obejmują, tchną Ducha św. — Miłość, który jest, rzec można, najwyższym wykwitem i koroną wnętrznego życia Bożego, — tak dusza nasza mocą refleksyjnego aktu miłości, przez który miłuje własne swe umiłowanie, wznosi się ku pełni życia wewnętrznego, na wyżyny żarliwej miłości. Ta pełnia zaś życia duchownego, ta żarliwość w miłowaniu Bo-

ga i bliźniego jest właściwym owocem Komunii św., sakramentu miłości.

Miłe są i pożyteczne rozważania teoretyczne nad tymi wzniosłymi prawdami; wszakże stokroć pożyteczniejszą rzeczą jest przeżywać praktycznie te zbawienne prawdy przez częste, jak najlepiej przygotowane Komunie św. Wówczas żyć będziemy pełnią Chrystusową, żarliwą miłością. To będzie życie prawdziwie szczęśliwe i błogosławione, pełne czynu a wolne od wszelkiej służalczej bojaźni. Albowiem u kresu dni naszych sądzeni będziemy z miłości.

Ks. Aleksander Żychliński

O PRZYGOTOWANIU DO MSZY ŚW.[1])

(Eucharystyczne rozważania wedle św. Bonawentury).

Pierwszy rozdział traktatu św. Bonawentury „Przygotowanie do Mszy św.", zawiera rozważania co do przygotowania do odprawiania Mszy św. — Przygotowanie to polega na czworakim rozważaniu.

Pierwsze rozważanie odnosi się do wiary w obecność Chrystusa P. w Eucharystii. Gdyż bez wiary dogmatycznej opierałyby się, wedle poglądu Doktora Serafickiego, wszystkie ascetyczne i mistyczne myśli tylko na piasku.

---

1) Napis ten odnosi się do rozprawy św. Bonawentury: „*Tractatus de praeparatione ad missam*". S. Bonaventura, Opera omnia, VIII, Quaracchi. Autor zajmuje się w tym niedługim traktacie Mszą św., w której działalność eucharystycznego Zbawiciela osiąga szczyt najwyższy. Treść i duch tego traktatu ma na sobie znamiona uczonego magistra uniwersytetu paryskiego i św. kardynała, powagę uczonego i namaszczenie Świętego. Autorstwa tego traktatu odmawiano dawniej tu i ówdzie św. Bonawenturze. Jednak świadkami jego autorstwa są liczne kodeksy, które przypisują tę pracę Doktorowi serafickiemu zarówno na podstawie tradycji, jak zwłaszcza ze względów na kryteria wewnętrzne. Oparci na tak cennych kryteriach poszli wydawcy dzieł św. Bonawentury w Kwaracchi za powagą Bonellego i zamieścili ten traktat *inter certa opera S. Bonaventurae.*

Dlatego przypomina św. Bonawentura czytelnikom swoim odnośną naukę katolicką w krótkich a jasnych słowach. Pod postaciami chleba i wina jest vi verborum Ciało i Krew Chrystusa P., a per concomitantiam cały Chrystus obecny, a mianowicie pod każdą z obu postaci. Aby wierze w tę wielką tajemnicę nieco utorować drogę, podaje on cztery powody dla wyboru postaci chleba i wina. Trzeci z nich, mniej powszechnie znany, zawiera odniesienie się postaci eucharystycznych do cierpień Chrystusowych. „Chleb wskazuje na to ciało, które było podczas męki młócone, mielone, na proch tłuczone i starte, a następnie gotowane, warzone i przysposobione przez ogień boskiej miłości na ognisku i ołtarzu ofiarnym krzyża. Wino zaś wskazuje na Krew, która z winnej jagody, tj. z Ciała Chrystusowego wyciśnięta została w tłoczni krzyża przez tłoczących ją żydów". Te powody zgodności (congruentiae) uzupełnia Doktor seraficki wskazówką na słowa ustanowienia Chrystusa Pana, na naukę apostołów, na czterystoletnią praktykę ojców, na liczne cuda — wszystko łącznie „testimonia palpabilia". Komu by jednak te powody nie wystarczały jeszcze do mocnej wiary, ten niech doświadczy na sobie skuteczności eucharystycznego Sakramentu i Ofiary, które w Kościele katolickim ciągle się objawiają. Kościół byłby bez tej Ofiary niczym[2]). A przeciwnie, w posiadaniu i korzysta-

2) „Tolle hoc Sacramentum de Ecclesia et quid erit in mundo nisi error et infidelitas, et populus christianus quasi

niu z tej Ofiary jest Kościół wszystkim[3]). W tych zdaniach mieści się krótka, ale wymowna nauka o Ofierze Mszy św. Jej treść bogatą wyzyskać i homiletycznie zużytkować, byłoby dla każdego kaznodziei wdzięcznym i pożytecznym tematem.

Poprzednimi wywodami założył św. Bonawentura fundament swego eucharystycznego podręcznika, jakby to jego przygotowanie do Mszy św. słusznie można nazwać. Wiara w „mysterium fidei" została przedłożona i uzasadniona.

Drugie rozważanie celebrującego kapłana wyprowadza budowę z fundamentu solidnej wiary w górę. „Zbadaj starannie, wzywa autor, domek twego sumienia i przypatrz się, czy w jego wnętrzu nie ma jakiejś plamy brzydkiej na duszy lub na zewnątrz na ciele jakiejś zmazy, którymi by oczy Świętego Świętych były obrażone". Badanie czystości duszy musi doprowadzić do usunięcia ewentualnych grzechów ciężkich, aby przyjęcie eucharystycznego Zbawiciela podczas św. Ofiary nie stało się niepożyteczne i szkodliwe. „Ofiarnik bowiem niegodny przyjmuje wprawdzie sakrament, ale nie rem Sacramenti, mianowicie: łaski Chrystusowej i miłości bożej; przyjmuje sakrament, lecz nie pokrzepia nim ducha; przyjmuje go ciałem, ale nie duszą; połyka go jakby zwierzę nierozumne bez urazy,

---

grex porcorum dispersus et idololatriae deditus, sicut expresse patet in ceteris infidelibus".

3) „Sed per hoc stat Ecclesia, roboratur fides, viget christiana religio et cultus divinus; unde inquit Christus: Ecce, ego vobiscum sum usque ad consummationem saeculi".

lecz dusza nie osiąga życia ani zjednoczenia". Co do badania czystości cielesnej ogranicza je autor do ewentualnej pollutio voluntaria et involuntaria.

Ale nie tylko od kapłana żąda Doktor seraficki czystości, także od wszystkich przyborów użytych przy sprawowaniu św. Ofiary. Jego odnośne słowa mogłyby być dla niejednej zakrystii piękną a zarazem pożyteczną ozdobą ścienną, ujętą w ramki[4]).

Podane dotąd wywody wielkiego Doktora Kościoła pozwalają już dostatecznie poznać, jak wielki i wspaniały ideał eucharystycznej Ofiary żywił w swej duszy. Lecz jego wysoki ideał nie zawsze, a nawet rzadko tylko, znalazł urzeczywistnienie w świecie współczesnym. Niewątpliwie było 13 stulecie nową wiosną życia kościelnego, lecz nie brakło w tej słonecznej wiośnie także cieni. Wyprawy krzyżowe nadały papieżom, biskupom i opatom takie stanowiska, iż mogli być więcej dyplomatami i doradcami książąt, niż pasterzami dusz. Biskupstwa i klasztory stały się w kolei wieków przedstawicielami wielkiej własności i kapitalistami. Wzrost handlu i gospodarstwo pieniężne nie oszczędziły nawet kleru niższego. Stąd pochodzi już z r. 1216 skarga Jakuba z Vitry, biskupa z Akkonu: „Gdy byłem czas jakiś w kurii, znalazłem tam wiele, co duchowi

---

4) „Curam habeas diligentem de munditia et nitore paramentorum altaris et sacrorum vasorum, ut cum omni honore et diligentia tractetur ille, qui est Angelis et Archangelis tremendus et honorandus"

memu nie odpowiadało. Byli tam wszyscy tak wielce zaprzątnięci sprawami doczesnymi i światowymi, królami i królowemi, procesami i rządami, że zaledwie można było pomówić cokolwiek o rzeczach duchowych". Skarga tego księcia Kościoła znalazła nawet w następnych lat dziesiątkach swe uwierzytelnienie, jakkolwiek nowopowstałe zakony żebracze już od swego początku rozwinęły błogosławioną działalność i skuteczną reformę w Kościele 13 stulecia. Dowodem tego jest szkic życia kościelnego, jaki nakreślił św. Bonawentura w uzupełnieniu nadmienionego wyżej wezwania do czystości[5]). Są to ciemne, ale prawdziwe szkice skreślone ręką tego, który żył w ognisku życia religijnego, mianowicie w Paryżu, gdzie wówczas w studium generalnym skupiało się duchowieństwo międzynarodowe.

T r z e c i e r o z w a ż a n i e prowadzi czytelnika znacznie dalej na drogę oczyszczenia (v i a p u r g a t i v a) i przechodzi coraz więcej na drogę oświecenia i zjednoczenia (v i a i l l u m i n a t i v a i u n i t i v a). W pierwszym rzędzie kładzie Bonawentura nacisk na czystość także od grzechów lekkich. Te bowiem grzechy „czynią człowieka ospałym, ociężałym, duchowo zamroczonym, nieprzysposobionym i nieodpowiednim do celebro-

---

5) „Heu, quot sunt hodie sacerdotes miseri et suae salutis improvidi, qui Christi corpus in altari velut carnes pecudum manducant et involuti et contaminati abominationibus, de quibus dicere fas non est, sceleratis manibus et pollutis labiis contingere non verentur et osculari Filium Dei et Mariae Virginis".

wania Mszy św., jeśli pył i plewa grzechów powszednich nie odpadną za powiewem ducha i płomieniem miłości i nie zostaną zniszczone żarem serca i rozważaniem własnej nicości i niegodności". Gdy tedy odprawianie Mszy św. wymaga tak wielkiej czystości, mógłby ktoś tego ścisłego wymagania użyć jako pozornej przyczyny do lekkomyślnego opuszczania św. Ofiary. Pozór taki usiłuje autor zupełnie zniweczyć, wskazując na następstwa uchylania się od celebrowania Mszy św. Oto jego słowa, które wedle uwagi wydawców dzieł św. Bonawentury przypisywano błędnie św. Bedzie: „Jeżeli kapłan jest wolny od grzechu ciężkiego i znajduje się w moralnie dobrej formie, jeśli nadto nie ma słusznej przeszkody i nie z głębokiego szacunku — a tylko z niedbalstwa — uchyla się od celebrowania, natenczas pozbawia on — quantum in ipso est — Trójcy św. czci i chwały, aniołów wesela, grzeszników przebaczenia, sprawiedliwych pomocy i łaski, dusz w czyśćcu pokrzepienia, św. Kościół dobra duchowego a siebie lekarstwa i środka zaradczego przeciw ułomnościom i grzechom powszednim..."

Skoro już dusza jest czysta od wszelkiego grzechu, musi z popiołu spalonych grzechów wydobyć się ogień miłości bożej. Palnika dla tego świętego ognia dostarczy bezpośrednio krótkie zastanowienie się o przyczynie naszego zbawienia, której ostateczną przyczyną jest Chrystus, przez swą śmierć na krzyżu. Ta jednorazowa śmierć przebłagalna wystarczyła dla odkupienia całego rodzaju ludzkiego; lecz ona odnawia się

co dzień mistycznie we Mszy św., a mianowicie pro commutatione nostrae mortis, gdyż co dzień przez grzechy nasze popadamy w karę śmierci: Dlatego to — „quidquid agitur in Missa et omnis ornatus et ceremoniae nihil aliud representant nisi Christi passionem". Palnika czyli materiału dla ognia miłości dostarcza też inne rozważanie „o najsłodszym pokarmie Sakramentu", a mianowicie: w jak odpowiedni i domierzony sposób Ojciec nasz niebieski przysposabia nam przez ofiarę Mszy św. pokarmu dla duszy. Stworzenia rozumne stworzone są dla zjednoczenia z Bogiem; bez udziału w Boskiej dobroci i łasce obróciłyby się w niwecz, zapadłyby w śmierć wieczną. Mieszkańcy nieba, aniołowie, piją pleno haustu z niewyczerpanego i ożywiającego źródła wiecznego światła i nasycają się nadmiarem domu bożego. My zaś mieszkańcy ziemi z zarządzenia wiecznej Mądrości żywimy się także pokarmem niebieskim i to w sposób do naszej wielce ograniczonej natury odpowiednio dostosowany. Ciałem naszym śmiertelnym nie możemy jeszcze kosztować owego chleba żywota in soliditate propriae formae, scilicet Divinitatis — w jego nieosłonionej boskiej istocie; dlatego to dała nam boska Mądrość potrzebny dla duszy pokarm w stosownej formie czyli w postaci chleba i wina[6]).

---

6) „Ut sicut Angelos viventes spiritus cibat Verbo increato, sic mortales homines cibaret Verbo incarnato in Sacramento suscepto".

W czwartym rozważaniu wprowadza Bonawentura czytelnika jeszcze głębiej w tajemnice serca ludzkiego i jeszcze wyżej na drogę czystej miłości Boga. „Badaj, doświadczaj siebie, dlaczego spełniasz św. Ofiarę". A zatem także intencja, która skłania do sprawowania Mszy św., musi być możliwie czysta, a przeto — jak autor dalej wykazuje — wolna od chciwości, próżności, lub innych niższych pobudek. Że takiej czystej, zwłaszcza bezinteresownej, intencji niedostawało wielu celebransom 13 stulecia, ujawniają niektóre surowe wynurzenia autora jako przyjaciela ubóstwa[7]). Znowu jawna, bolesna skarga na życie kościelne 13 stulenia! Lecz czy nie jest ona zarazem komentarzem do niedługo przedtem dokonanego założenia zakonu franciszkańskiego? Bo czyż nie chciał św. Franciszek z Assyżu przez swe nowe stowarzyszenie wydać właśnie wojnę nieumiarkowanej miłości świata, chciwości, a przywrócić do czci ubóstwo, które od śmierci krzyżowej swego pierwszego miłośnika coraz więcej było przez wszystkich opuszczone? Jakże to prawdziwie i pięknie opiewa Dante w „Raju" spólnictwo miłosne między św. Franciszkiem a biedotą[8]).

---

7) „Vae, vae, Domine Deus! quanti hodie infelices ad sacros ordines et divina mysteria accedunt, non caelestem panem, sed terrenum quaerentes; non spiritum, sed lucrum; non Dei honorem, sed suam ambitionem; non salutem animarum, sed quaestum pecuniarum; non Christo servire mundo corde et corpore in sacris mysteriis, sed deliciari, ditari, superbire et luxuriari de patrimonio Christi et de eleemosynis populi..."

8) Dante, Raj XI, 61-67:

Lecz przestępstwa dadzą się usunąć nie tyle skargami, jak raczej miłym przedstawieniem i pochwalaniem cnoty. Dlatego też w miejsce ujemnych i niedostatecznych intencyj podaje św. Bonawentura wybór szlachetnych i zbawiennych do sprawowania św. Ofiary: „Conscientia et remorsus delictorum, intuitus tuae infirmitatis, pressura alicuius tribulationis, desiderium alicuius gratiae, gratiarum actio, caritas et compassio proximorum, laus Dei et Sanctorum etc.“ Między tymi intencjami mogą dwie pierwsze nieco zastanawiać. Z ich brzmienia zdawałoby się, że zostają w przeciwieństwie do żądania postawionego poprzednio przez autora, iż do godnego przyjęcia Eucharystii starać się należy o możliwie wielką czystość. Ta pozorna sprzeczność ustąpi jednak, jeśli się pod „delicta i infirmitas“ podstawi grzechy powszednie i lekkie ułomności. Gdyby bowiem i te nawet miały uchylać od przyjęcia Eucharystii, wówczas żaden chyba człowiek śmiertelny nie mógłby godnie przystąpić do ołtarza Nowego Zakonu. Stąd też w zgodzie z Doktorem serafickim Pius X w dekrecie z 20. XII. 1905 o częstym przyjmowaniu Komunii św. orzeka, że dla dobrego przysposobienia do tego przyjęcia należy starać się także o wolność od grzechów powszednich i ujemnych

---

Przed trybunałem duchowym swe chęci
Zgłosił et coram patre dał jej słowo,
A potem co dnia kochał ją goręcej.
Po pierwszym mężu swoim była wdową
Tysiąc, więcej stu i kilkoma laty,
Aż ją ten oto poślubił na nowo.

skłonności. Jednak wystarcza, aby ci, którzy świętą Komunię często i codziennie przyjmują, byli wolni od grzechów ciężkich i odnowili postanowienie nie grzeszenia więcej w przyszłości.

Jako trzy główne intencje mają być nadto wedle św. Bonawentury przy każdej św. Ofierze te uwzględnione: uwielbienie Boga, pamięć na śmierć Chrystusa P. i pożytek całego Kościoła. Do pierwszej intencji głównej przyłączona jest poboczna, która przez swe jasne a zarazem polemiczne sformułowanie jest interesującą dogmatycznie i historycznie. Odnosi się ona do czci Świętych Pańskich a mianowicie — jak to wynika z całego związku — do czci Świętych przez Ofiarę Mszy św. Cześć ta — wedle wywodu św. Doktora serafickiego — nazywa się dulia i nie oznacza wcale cultus lub adoratio, jakie się składa P. Bogu, lecz polega na subrogatio i invocatio. Modlimy się do Świętych Pańskich także za pomocą Ofiary Mszy św., *ut sint apud Deum advocati pro nobis* — by byli orędownikami przed Bogiem, lecz ich nie adorujemy. Całą też cześć, jaką im okazujemy, wyświadczamy im dla Boga, z którym są zjednoczeni[9]). Całe przeto „ciemne średniowiecze" miało przecie tyle oliwy w lampie, że umiało poznać zasadniczą różnicę między uwielbieniem Boga a czcią Świętych, między cultus latriae a cultus

9) „Et omnis reverentia, quae eis impenditur, propter Deum, cui sunt conjuncti, exhibetur".

duliae. Cenna to prawda dla niektórych „oświeconych" historyków i czytelników.

Drugi rozdział traktatu rozprawia o bezpośrednim przygotowaniu do Mszy św. i samymże jej sprawowaniu. Do tego przygotowania należy także spowiedź; jak często należy ją odbywać, św. Bonawentura bliżej nie określa. Natomiast podaje tym dokładniejsze szczegóły co do sposobu wyznawania grzechów. Całkiem ogólnikowe wyznanie, „któreby można bez zarumienienia złożyć publicznie na ulicach miasta" jest wedle jego zapatrywania kiepskim złudzeniem. Tylko otwarte odsłonięcie ran może przynieść uzdrowienie[10]).

Po odmówieniu 5 psalmów przygotowawczych, które aż do dzisiaj mają swe miejsce w mszale, powinien kapłan, idąc do ołtarza, rozważać też gorzką mękę Zbawiciela. Szczytem uczuć dla „serafickiego" Świętego będzie przy św. Ofierze zjednoczenie Chrystusa z duszą celebransa przy św. Komunii. Wobec serafickiej miłości u św. Bonawentury nie dziw, że on znajduje dla Boskiego Gościa właściwe wyrazy powitania. Jędrnie i żywo zaleca on kapłanowi odmawiać do Zbawiciela następującą modlitwę, a to — jak wyraźnie podkreśla — nie językiem czy ustami, lecz sercem: „O mój Panie, kto Ty jesteś a czym jestem ja, że poważam się posłać Cię do wstrętnego zagłębie-

---

10) „Si vis sanari, aperi vulnera tua et de profundo corde enarra clare et aperte... non solum opera, sed et cogitationes perversas, quarum delectatio mentem maculat, non solum mortalia, sed etiam venialia graviora".

nia mego ciała i mojej duszy. Po co mię stworzyłeś, abym Ci wyrządził tak haniebną krzywdę? Tysiące lat łez i pokuty nie starczyłyby na przygotowanie, by tak wspaniały Sakrament choćby raz tylko przyjąć godnie; tym mniej przeto godnym jestem ja nędzny, który co dzień grzeszę, w grzechu trwam i przystępuję nieprzygotowany. Ale nieskończenie większe jest Twe miłosierdzie, niż moja nędza. I dlatego tylko w ufności do Twego zmiłowania odważam się Cię przyjąć".

Co do owego pobożnego skutku Komunii św., który teologowie określają powszechnie jako „delectatio spiritualis", ulega Bonawentura może zbytnio swemu mistycznemu uczuciu i dochodzi do niedość słusznego zapatrywania. Uważa on mianowicie brak owej „duchowej radości" po Komunii św. w każdym razie za oznakę słabości a nawet śmierci duchowej. Ten pogląd należy o tyle sprostować, że stan duchowej oschłości należy często przyjąć jako godzinę na górze Oliwnej, w której sprawiedliwy ma być doświadczony co do siły i bezinteresowności swej miłości ku Bogu. Z innej strony prawdą jest, że brak wspomnianej „delectatio spiritualis", pociechy czy radości duchowej często, ale nie zawsze, przypisać można niedostatkowi dobrego przysposobienia, gdyż nie bez słuszności argumentuje św. Bonawentura: „Ignem posuisti in sinum, et non sentis calorem, mel in ore, et non sentis dulcedinem". To pewne, że eucharystyczna Ofiara ma w sobie moc ożywczą i chyba zapytać można, czy ta moc ożywiająca w świetle eucharystycznych

rozważań Bonawentury nie wzrasta do mocy boskiej? Czy dogmat Eucharystii już w małym traktacie Doktora serafickiego nie okazuje się jako słońce, które najlepsze siły w człowieku obudza? Czy wiara, miłość, pokora, czystość nie są także w tym traktacie nierozłącznym a wspaniałym orszakiem małej, białej Hostii? Jakże tu nie powtórzyć: „O altitudo divitiarum sapientiae et scientiae Dei!“

Kto w Watykanie odwiedzi Camera della Segnatura i wpatrzy się w Dysputę Rafaela, znajdzie pośród czcicieli eucharystycznego Zbawiciela na ziemi także św. Bonawenturę. Stoi on tam w szyku z Piotrem Lombardem, Ambrożym, Augustynem, a wyróżnia się swą szatą kardynalską. Czy Doctor seraphicus zasłużył na to zaszczytne miejsce między czcicielami Eucharystii? — Odpowiedź wypadnie twierdząca choćby tylko przez wzgląd na jego traktat o przygotowaniu do Mszy św. Ta mała książeczka zabezpiecza mu to miejsce. W tym bowiem traktacie jednoczą się dogmatyczne i moralne, ascetyczne i mistyczne myśli w hymn harmonijny dla eucharystycznego Zbawiciela. Kto od zgiełku świata zatrzyma się na progu duszy i w cichej godzinie wsłucha się w brzmienia tego hymnu, posłyszy niechybnie w swej duszy struny może dawno zapomniane, dźwięki dzwonów z dni pierwszej św. Komunii lub prymicyj płynące z serca gorącego do Chrystusa. W nim rozbrzmiewa: Sursum corda! on wskazuje kapłanom i ludowi drogę do miłości

serafickiej ku temu, który w eucharystycznym Sakramencie i Ofierze miłość swą okazał.

Ks. Al. Jougan

TAJEMNICA OFIARY

Stwierdzając, że jestem, stwierdzam zarazem zależność swojego istnienia. Nie w mojej mocy jest życie moje i śmierć. Jestem, gdyż Ktoś powołał mnie do bytu. Znikomość moja Jemu świadczy, który JEST. Czytam Boga w biciu mojego serca, w tętnie mojej krwi: nie na tablicach kamiennych, lecz na tablicy „cielesnej" mego człowieczeństwa. Ja, człowiek, całym sobą wyznaję Boga — nawet wtedy, gdy Mu przeczą moje usta. Jestem żywym dowodem, żywym świadectwem. Pytaniem, które tylko w Nim znajduje odpowiedź. I łatwiej mógłbym siebie się zaprzeć, niż zaprzeć się Jego. *Bóg jest, Który jest, gdyż jam jest, który nie jest.* Mój niebyt domaga się Bytu. Moja ułomność domaga się Pełni. Moje mijanie świadczy o Życiu. Stworzenie, świadczę Stwórcy.

Grzech, mącący wejrzenie oczu („obnubilatio spiritus"), zaciemnia w nas to jasne prawo, fałszuje naszą istotność. Ale tam, gdzie myśl rzetelna i serce prawe, zwycięża zawsze oczywistość prawdy. Od zarania dziejów, na całym globie, człowiek samym swoim istnieniem sprawdzał zależność swoją od Boga; religia była mu wrodzo-

na, choć skażenie pierworodne zakłócało jej czystość. Pod najgorszym zwyrodnieniem politeizmu i orgiastycznych kultów dopatrzeć się można jej tajemnych źródeł: *tej dogłębnej potrzeby człowieka, by uznać nad sobą Pana.*

Nie dość jednak uznania. Potrzeba znaku, któryby dowiódł tej zależności. Człowiek nie jest czystym duchem, ciało jego domaga się współudziału we wszystkim, co czyni. Nie ma w nim nic tak wewnętrznego, co by nie chciało się uzewnętrznić. Świadomość zależności od wyższych mocy wyraża się samorzutnie w zewnętrznym znaku, w ofierze[1]). Są to dwa aspekty tej samej rzeczywistości człowieczej, nierozdzielnie ze sobą związane, jak dusza z ciałem. Treść bez formy nie wystarcza, również jak forma bez treści. Nie ma religii czysto wewnętrznej (lub tylko jej karykatura), tak jak nie ma religii czysto zewnętrznej (wypruta z duszy, rozkłada się rychło). Albowiem religia tak jak człowiek złożona jest z duszy i ciała, z usposobienia wewnętrznego, które przyobleka się w zewnętrzny znak. Św. Augustyn wyraża to dobitnie: „Ofiara widzialna jest „sakramentem" czyli świętym znakiem ofiary niewidzialnej"[2]). I św. Tomasz: „Ofiara, złożona na zewnątrz oznacza wewnętrzną ofiarę duchową, przez którą dusza sama ofiarowuje się Bogu"[3]).

---

1) De civitate Dei, lib. X, cap. 5.
2) I-a II-ae, q. 85, art. 2.
3) Per sacrificia repraesentabatur ordinatio mentis in Deum. Ad rectam autem ordinationem mentis in Deum pertinet quod omnia quae homo habet, recognoscat a Deo tam-

Istotą religii jest ofiara i nie ma człowieka, w którego duszy, choćby na jej najgłębszym dnie, nie płonęła lub nie tliła potrzeba tego stwierdzenia i tego znaku. Uznając Boga ponad sobą — wielbi Go; składa mu dzięki za dobra, darmo dane; widząc swą niemoc prosi Go o nowe dary; świadom swoich przestępstw i swoich win błaga go o przebaczenie, czyni zadość. Anemia religijna tak zwanych niewierzących nie doprowadza do uzewnętrznienia tych doświadczeń, zatrzymuje je niejako wpół drogi, nie pozwala im niekiedy przejść przez próg świadomości. Ci biedacy nie dorastają do pełnej religii, tej chwały człowieczeństwa, choć jej zarodki głęboko utajone tkwią w ich duszy. A jednak jakiż człowiek ośmieliłby się rzec, że nigdy w życiu nie dziękował, nie prosił, nie kajał się i nie chylił w trwożnym uwielbieniu (w tym, co Anglik nazywa tak trafnie

---

quam a primo principio, et ordinet in Deum tamquam in ultimum fincm... Et ideo in oblatione sacrificiorum protestabatur homo quod Deus esset primum principium creationis rerum, et ultimus finis ad quem essent omnia referenda... Pertinet ad rectam ordinationem mentis in Deum, ut mens humana non recognoscat alium primum auctorem rerum nisi solum Deum, neque in aliquo alio finem suum constituat. „Przez ofiarę wyraża się zwrócenie umysłu ku Bogu. Na to aby dobrze zwrócić umysł swój ku Bogu, należy uznać, że wszystkie dobra, które człowiek posiada, od Boga pochodzą, jako od pierwszego początku i że do Boga należy je skierowywać, jako do celu ich ostatecznego. Dlatego składając ofiary człowiek stwierdzał, że Bóg jest pierwszym początkiem wszelakiego stworzenia i ostatecznym celem, do którego wszystko trzeba odnosić. Na to, aby umysł był zwrócony ku Bogu tak, jak trzeba, nie powinien uznawać innego, pierwszego sprawcy poza Bogiem i kłaść w kimkolwiek poza nim swój cel“ (I-a II-ae, q. 102, a. 3).

„awe"), wobec Kogoś nieskończenie Wielkiego i Miłościwego, Kogo dyktował mu może nie tyle rozum, łatwiejszy do zakłamania, ile serce, mające „swoje racje"?

Nie tylko w swoim imieniu człowiek winien wielbić Boga, dziękować Mu, prosić o pomoc, czynić Mu zadość. Człowiek we wszechświecie nie jest sam, otacza go liczne, młodsze rodzeństwo — całe stworzenie zlecone jego pieczy. W zamiarach Bożych jest, by człowiek był mu głosem i słowem i pieśnią, nie tylko tym, ale jeszcze czymś więcej: kapłanem. Wszak człowiek — mikrokosm — jest skrótem całego stworzenia. W nim to, co nieme i martwe i nierozumne odnajduje siebie — i więcej niż siebie: pełnię duszy rozumnej i nieśmiertelnej, przed którą się korzy. Bóg poddał je człowiekowi, by człowiek z kolei poddał je Jemu. Ten jest warunek i przywilej wasalstwa. Rośliny i kwiaty, zwierzęta i skały, brat słońce i siostra ziemia czekają na laudy, które w ich imieniu człowiek zaśpiewa Stwórcy, oddają mu się w ręce na ofiarę, która wypełni ich sens. I gdy człowiek zawiedzie, gdy lennik niewierny sobie przywłaszczy zlecone mu włodarstwo, stworzenie płacze i wzdycha wzdychaniem niewymownym, czekając wybawienia. Jest, niby lutnia, która nikomu nie służy, jak cudny stradivarius, rzucony do rupieci. Na cóż zda się to piękno, ten przepych, ta świetność, jeżeli ja, człowiek, nie podejmę go w zbożnych dłoniach, jeśli nie złożę go w ofierze Temu, który jest źródłem Piękna?

Ofiara zewnętrzna jest znakiem ofiary we-

wnętrznej. We wszystkich religiach świata człowiek, ofiarowując daną rzecz, daje ją Bogu w zastępstwie siebie, wyobraża nią siebie i swoją wolę poddaństwa. I oto pierwszy takt — od człowieka ku Bogu. Ale nie na tym koniec ofiary. Nie dość jest dać — trzeba, by ofiara została przyjęta. Pierwszy moment — oblatio — jest tylko wstępem, wyrażeniem gotowości człowieka, pytaniem, rzuconym niebu. Dopełnić ofiary może tylko Bóg, odpowiadając na pytanie, postawione przez człowieka, przyjmując Jego dar. Tę ratyfikację Bożą wyobraża zniszczenie ofiary; w ten sposób człowiek całkowicie się wywłaszcza, na rzecz Boga, z ofiarowanego przedmiotu; i Bóg z kolei, przywłaszczając go sobie, czyni go świętym (sacrum facere = sacrificium). Nie ma tedy ofiary tam, gdzie przedmiot ofiarowany nie ulega zniszczeniu. Św. Tomasz odróżnia wyraźnie „ofiarowanie" = oblatio od istotnej ofiary = sacrificium, dopełnionej przez Boga: „Gdy w kulcie Bożym dany przedmiot zostanie ofiarowany i strawiony[4]), tak, iż staje się tym samym przedmiotem świętym, jest nie tylko ofiarowanie, ale także ofiara... I przeciwnie, jeżeli przedmiot jest ofiarowany ale zostaje nietknięty... mamy ofiarowanie, ale nie ofiarę"[5]). Rzecznikiem Bożym jest kapłan, który zadaje ofierze śmiertelny cios lub zdaje ją na całopalenie. W Starym Zakonie sym-

4) Nieprzetłumaczalne „consummatum", które wyraża nie tylko zniszczenie, wypełnienie, ale także przejście z jednego stanu w drugi, z niższego w wyższy.

5) II-a II-ae, q. 86, art. 1.

bol ognia w szczególny sposób wyobrażał Boga: „Dominus Deus tuus ignis consumens est" — „Pan Bóg twój jest ogniem pożerającym" (Deut. 4, 24). Przywłaszczając ją sobie w imieniu człowieka i stworzenia, Bóg trawi ofiarę i niszczy ją, *„consumit"*.

I teraz nasuwa się pytanie wielkiej wagi: cóż to za zniszczenie i na czym ono polega? W ofierze całopalnej człowiek wyobraża siebie i stworzenie: jakoż może być, aby Bóg chciał zniszczyć to, co stworzył' *„Nihil odisti eorum quae fecisti..." Miłujesz bowiem, Panie, wszystko, co jest, i nic nie masz w nienawiści z tego, coś uczynił...* (Sap. XI, 26). A jednak symbolika ofiary jest wyraźna — przedmiot ofiarowany nie może pozostać nietknięty. Czyż trawiąc go, ogień Boży tylko go niszczy?

Dotykamy problemu, który w religiach naturalnych da się ująć tylko w figurze i jakby przez zasłonę. Tak jak wszystkie ofiary świata są tylko cieniem i biednym odblaskiem jedynej Ofiary, którą wyobrażają i zapowiadają, podobnie cel ich i założenie są tylko funkcją tamtej Ofiary, wypełniającej miłościwe plany Boże. Zniszczenie ofiary jest równoznaczne z przywłaszczeniem jej przez Boga, który ją uświęca = *sacrum facit,* a więc przenosi w stan wyższy i bliższy Siebie, jednoczy z sobą, zamienia w siebie. Śmierć rodzi życie, zniszczenie — przyrost bytu. Nie można bezkarnie wpaść w ręce Boga żywego! Trawiąc naszą nicość, zastępuje ją własnym Bytem. „Istotą prawdziwej ofiary — pisze Condren

— jest zjednoczyć nas z Bogiem". I św. Augustyn: „Prawdziwa ofiara, to wszelkie dzieło spełnione w celu nawiązania świętej społeczności z Bogiem". „Omne opus quod agitur ut sancta societate inhaereamus Deo"[6]).

Oto prawdy, które majaczą nam mgliście we wszystkich religiach nie znających Chrystusa. I oto rozwiązanie pozornego paradoksu: woli bytu przeciętej jakby wolą śmierci, wolą zniszczenia. Instynkt samozachowawczy człowieka nie jest bynajmniej sprzeczny z instynktem ofiary. Wszak dając Bogu, odzyskuje stokrotnie. Zniszczenie jest tylko pozorne, pozorna śmierć. Przyjmując ofiarę, Bóg podnosi ją ku sobie, uświęca ją, przywłaszcza ją sobie. Wywyższenie jest tym doskonalsze, im czystsza była ofiara: „Bóg nie lubi ofiar wilgotnych". Na znak przymierza Bóg dopuszcza człowieka do swojego stołu, oddaje mu niejako przyjętą przez siebie i uświęconą ofiarą, we wspólnej uczcie zacieśnia z nim społeczność.

***

Wyróżniliśmy w ofierze dwa momenty: od człowieka ku Bogu i od Boga ku człowiekowi. Człowiek składa ofiarę, ale nie na tym koniec: potrzeba jeszcze, aby ofiara została wypełniona (consummata), aby Bóg ją p r z y j ą ł. I tu właśnie człowiek, pozostawiony samemu sobie, stwierdzał przez wieki swoją niemoc. Czemżeż jest jego dar, by mógł spodobać się Bogu? Czemżeż jest on

---

6) De Civ. Dei, l. X, cap. 6.

sam, by został przyjęty? „Tedy człowiek ujrzał, że jest nagi". Grzechy przywaliły go ku ziemi nieznośnym brzemieniem. Jakżeż stanie przed Panem z sercem, pełnym plugastwa? I choćby nawet oczyścił się długą pokutą, czemżeż jest jego nicość, wobec Tego, który Jest? Wszak ofiara nicości jest tylko nicością... I człowiek szedł drżąc ze swym darem ofiarnym, niepewny do końca, czy przyjmie go Bóg. W Starym Zakonie Pan niejednokrotnie przypomina Żydom, że nie w takich ofiarach upodobał sobie. Cały, przepiękny 49-ty psalm jest Bożą krytyką ludzkich ofiar: „...Izali będę jadł mięso wołowe? albo krew kozłową będę pił? *Ofiaruj Bogu ofiarę chwały!*" Zaiste, twarde żądanie! Jakżeż człowiek, ta trzcina chwiejąca się na wietrze, to nic, pokryte trądem grzechu, zdobędzie się na ofiarę chwały? Tragiczny pesymizm niektórych ksiąg Starego Zakonu zrodził się z tego pytania. Lecz oto nierozdzielne, prorocze echo już mu zwiastowało odpowiedź. Przejmującą cechą Starego Testamentu jest właśnie ten dwugłos — pytań i odpowiedzi nie spotykających się nawzajem, których skojarzenie istotne nastąpić mogło dopiero w Tym, Który wszystko pojednał.

Bóg nigdy nie stawia pytań, na które nie ma odpowiedzi. Bóg nigdy nie żąda rzeczy niemożliwych. Niekiedy „kusząc nas" stawia nas jakby wobec absurdu; lecz tylko po to, by wypróbować naszą wiarę, naszą ufność, naszą miłość, trzymając już na pogotowiu rozwiązanie. Gdy odtrącał z pogardą nazbyt materialne ofiary Żydów, gdy

żądał od nich „ofiary chwały" już im gotował niewysłowioną odpowiedź: „Nie chciałeś ofiary i objaty: aleś mi ciało sposobił. Całopalenia i za grzech nie upodobałyć się: tedym rzekł: *Oto idę*" (Żyd. X, 5-7).

Ecce venio... Na przecięciu czasów niebo zetknęło się z ziemią, Słowo stało się Ciałem. Wszystka tęsknota ludzkości znalazła cudne wypełnienie. Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata. Oto Człowiek doskonały, Pan i Dziedzic wszechrzeczy, Kapłan jedyny i jedyna Ofiara. W Chrystusie religia znalazła swój sens, w Nim spełniły się jej odwieczne przeczucia, co było w części, ustąpiło przed Pełnią.

Zaiste, nie ma już obawy, aby Bóg odrzucił naszą ofiarę. Wszak jest nią Jego Syn, nasz Brat. Zaiste, nie ma już obawy, aby Bóg wzgardził naszym kapłanem. Wszak jest nim nasz Brat, Jego Syn. Nad sercem Bożym zyskaliśmy przedziwną władzę — w tej mierze, w jakiej korzystamy z Chrystusa i przywłaszczamy sobie Jego ofiarę, Jego modlitwę, Jego chwalbę. Wartość naszego życia i naszych czynów z Niego jest. I od nas zależy, aby Ojciec nie widział nas inaczej, jak tylko przez Niego, z Nim i w Nim. Oblekając się w Chrystusa, zdobywamy Błogosławieństwo Boże, jak Jakub obleczony w szaty Ezawa. On jeden jest naszym życiem, naszym wszystkim, odpocznieniem wszystkich naszych pragnień.

* * *

Od zarania dziejów człowiek marzył o doskonałej ofierze, godnej Boga. We wszystkich religiach, nawet najbardziej skażonych ludzką nędzą, można dostrzec to dążenie. Od wieków także człowiek marzył o doskonałym kapłanie — pośredniku, mającym moc nad sercem Bożym, obdarzonym Jego łaską. I przez wieki sprawdzał wciąż od nowa, że jego ofiarnik jest ułomny, jak on sam. Na to, by ofiara była doskonała, musiała być ludzka i więcej niż ludzka. Na to, by kapłan był doskonały, musiał być człowiekiem i więcej niż człowiekiem. Pozorny absurd, który rozwiązało Wcielenie. Doskonały Człowiek-Bóg jest kapłanem własnej ofiary. Nie tylko własnej, lecz wszystkich ludzi, których jest Głową w mistycznym Ciele. Nie tylko ludzi, lecz wszechświata, którego jest Panem i Królem: *„primogenitus omnis creaturae, — pierworodny wszelakiego stworzenia"*. Przez Niego, z Nim i w Nim całe stworzenie wraca ku Temu, który dał mu byt, w ofierze chwały: W Chrystusie wypełnia się nasza religia.

Dla nas, chrześcijan, nie ma pod słońcem sprawy ważniejszej, nad ofiarę Chrystusową. Słuszna więc, byśmy starali się zgłębiać coraz bardziej jej bogactwa niedościgłe, aby, poznawszy, lepiej miłować naszego Pana i lepiej korzystać z Jego ofiary. Wszak ten jest nasz cel i racja naszego istnienia.

Powiedzieliśmy na wstępie, za św. Augustynem, że ofiara jest znakiem widzialnym ofiary niewidzialnej, uzmysłowionym aktem zależności

człowieka od Boga. W tym znaczeniu całe życie Jezusa Chrystusa jest jedną wielką ofiarą, nieprzerwanym „fiat". W swojej ludzkiej naturze Chrystus jest stworzeniem, zależnym od Boga — z jakąż radością, uwielbieniem, pokorą i posłuszeństwem uznaje tę swoją zależność! Ofiara wewnętrzna wyraża się w Jego bezwzględnym poddaniu woli Ojca. „Przyszedłem czynić wolę Tego, Który mię posłał..." (Jan VI, 38).

Ale to nie wszystko. Chrystus jest naszym Odkupicielem. Z woli Ojca wziął na siebie grzechy świata, stał się człowiekiem, by nas wybawić od prawa śmierci. Sam będąc bez skazy, dla nas „stał się grzechem"; przyjął naszą ludzką dolę, upodobnił się do nas, doświadczył naszej słabości. „Albowiem nie mamy najwyższego kapłana, który by się nie mógł ulitować nad słabościami naszymi: lecz kuszonego we wszystkim na podobieństwo, oprócz grzechu" (Żyd. IV, 15). Całe życie Chrystusa jest drogą krzyżową, i tragedia Golgoty dopełnia tylko pasma męki. Na każdy dzień Chrystus przyjmuje z ręki Ojca nie tylko życie swoje, lecz i śmierć nade wszystko haniebną. Jego serce człowiecze wzdryga się na myśl o tej godzinie i jednocześnie do niej się rwie: „Teraz dusza moja zatrwożona jest. I cóż rzekę? Ojcze, wybaw mnie od tej godziny. Lecz dlategom przyszedł na tę godzinę: Ojcze, uwielbij imię Twoje" (Jan XII, 27). Można więc rzec, że Człowiek-Bóg od chwili poczęcia jest ofiarnikiem i ofiarą, że Jego doskonałe zjednoczenie z wolą Ojca wypełnia bez przerwy istotę religii,

że Krzyż jest ostatnim aktem wielkiego dramatu, którego prologiem było Wcielenie: Verbum Caro factum.

Baczmy jednak, by takie ujęcie nie zatarło w nas znaczenia Męki Krzyża w ofierze Chrystusowej. Wszak Krzyż jest punktem grawitacyjnym, ku któremu zmierza całe Jego życie, wszystkie Jego czyny, wszystkie Jego słowa. Dla tej godziny przyszedł na świat, ku niej dążył, w niej wypełnił swoje posłannictwo. Jeśli całe Jego życie jest jedną, nieprzerwaną ofiarą, znakiem tej ofiary, w znaczeniu augustiańskim (signum) i jej wypełnieniem jest Golgota. I choć od chwili poczęcia Chrystus jest namaszczony kapłanem i ofiarą, w zamiarach Bożych było, aby na Krzyżu sprawował w pełni swoje kapłaństwo i dokonał swojej ofiary. Możnaby rzec, że całe życie Chrystusowe było funkcją tej wielkiej godziny, którą z Bożego zrządzenia odkupił świat.

Ofiara krzyża jest więc dokonaniem ofiary Chrystusowej („consummatum est") i pełnią ofiary. Przez wieki grzeszny człowiek składał Bogu swe ułomne dary, wie wiedząc, czy przyjmie je Bóg. Przez wieki kapłan nie był godny Boga i nie był godny go dar. Tedy w rytmie ofiary wypełniał się tylko jej pierwszy takt: od człowieka ku Bogu. Ale nie było żadnej pewności, żadnej rękojmi, że ofiara zostanie przyjęta, że się wypełni od Boga ku człowiekowi, że dar — uświęcony — zjednoczy człowieka z Bogiem.

Tę pewność, tę rękojmię, przewyższającą wszelką myśl, ma ofiara Syna, który stał się

człowiekiem, jednym z nas. W naszym imieniu, nostram vicem gerens, ofiarowuje się na krzyżu, wyniszcza aż do śmierci. I Ojciec przyjmuje ofiarę, nade wszystko miłą, ratyfikuje ją zmartwychwstaniem, utwierdza w niebiesiech. Krzyż i Zmartwychwstanie to dwa akty jednej ofiary, jedynej ofiary, która wypełniła po wszystkie czasy i na wieczność całą swoją istotę. „Każdy kapłan stoi codzień urząd odprawując i też ofiary częstokroć ofiarując, które nigdy nie mogą grzechu znieść, *Lecz ten ofiarowawszy jedną ofiarę za grzechy, na wieki siedzi na prawicy Ojca*" (Żyd. X, 11-12). Ofiara krzyża, dokonana w czasie i przestrzeni, trwa na ołtarzu nieba. Baranek Boży, zabity i zmartwychwstały, sam jest Kapłanem i Ofiarą. Powinność chwały, wrodzona człowiekowi, wypełnia się na wieki w Bogu-Człowieku.

Wielka to rzecz mieć takiego kapłana i taką ofiarę. Ale nie na tym koniec szczodrobliwości Bożej. Człowiek-Bóg jest nie tylko jednym z nas, jest także nami. Na krzyżu raz i wciąż na ołtarzu nieba ofiarowuje się nie sam, lecz wraz z całym swym Kościołem — swoim Ciałem. Dzięki Głowie całe Ciało jest ofiarą, miłą Bogu, przyjętą przez Boga. W Chrystusie utwierdza się nowe przymierze między człowiekiem i Bogiem. Innymi słowy na Golgocie Bóg ostatecznie uznaje w Nim i przyjmuje Głowę całego Ciała mistycznego. To uznanie w Chrystusie całego Ciała mistycznego jest prawdziwą konsekracją Jego człowieczeństwa, nie w Jego własnej doskonało-

ści, która nie może wzróść, ale w Jego stosunku aktualnym do Kościoła.

„Kapłaństwo Chrystusowe — pisze św. Tomasz — dopełniło się w Jego męce"[7]). Ofiara Krzyża jest pełnią ofiary, uwieńczoną w niebie. Jest to ofiara jedyna, nie potrzebująca powtórzenia jak niedoskonałe ofiary ludzkie. „Albowiem Chrystus nie wszedł do świątyni ręką uczynionej, która była wizerunkiem prawdziwej: ale do samego nieba, aby się teraz wstawiał przed obliczności Bożą za nami. A nie iżby często ofiarowywał samego siebie jako najwyższy kapłan wchodzi do świątyni co rok ze krwią cudzą: inaczej trzeba by mu częściej cierpieć od początku świata: lecz teraz na skończeniu wieków raz się okazał ku zgładzeniu grzechu, przez ofiarę samego siebie... Albowiem jedną ofiarą doskonałymi uczynił na wieki świętych (Żyd. IX, 24-6; X, 14).

O radości niewysłowiona! Ta ofiara doskonała, jedyna, wieczna jest zarazem ofiarą naszą. Wraz z Głową ofiarowuje się całe Ciało. Wraz z Głową jest przyjęte — zmartwychwstaje całe Ciało. Wraz z Głową do nieba wstępuje całe Ciało. Wyraża to z niezrównaną mocą św. Leon, w homilii na Wniebowstąpienie: *„Christi ascensio, nostra provectio est: et quo praecessit gloria Capitis, eo spes vocatur et corporis"*. Wniebowstąpienie Chrystusowe jest podniesieniem naszym; i tam gdzie wyprzedziła nas chwała Gło-

7) III-a, q. 35, art. 7.

wy, powołana jest nadzieja Ciała. „*Albowiem — pisze autor listu do Żydów — który poświęca i którzy bywają poświęceni z jednego są rodu*" (II, 11).

Nie wolno tedy w ofierze Chrystusowej oddzielać Krzyża od Zmartwychwstania, które jest jej wypełnieniem. „Widzialna ofiara Chrystusa na krzyżu — pisze Héris — wypełnia się przez widzialną konsekrację Ojca w zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu, które są dla nas świadectwem przywrócenia do stanu łaski i pokoju Bożego"[8]).

***

Ofiara Chrystusowa — złożona przez Syna i przyjęta przez Ojca — jest naszą ofiarą w tym stopniu, w jakim przywłaszczamy ją sobie. Mamy do dyspozycji doskonałego kapłana i doskonałą ofiarę — musimy z Nich korzystać. Przywłaszczamy zaś sobie ofiarę Chrystusową, korzystamy z niej w Eucharystii, która jest jej znakiem (signum) i przedłużeniem, w przestrzeni i czasie, po krańce ziemi i do końca wieków.

Chrystus ustanowił Eucharystię nie dlatego, jakoby czegoś niedostawało jego ofierze krzyżowej, ale dlatego by tę ofiarę udostępnić i dać na własne wszystkim pokoleniom. Jest to ta sama ofiara, przetłumaczona na liturgiczny znak. Sprawując Eucharystię, „pełnimy dzieło naszego odku-

---

8) Héris, mystère du Christ, 224.

pienia — *opus nostrae redemptionis exercetur*", mówi wspaniale św. Tomasz. Przez Eucharystię ofiara krzyżowa staje się w pełni naszą ofiarą: „czego męka Chrystusowa dokonała dla całego świata, sakrament ten sprawuje w każdym człowieku" (III-a, q. 79, a. 1). Widzimy więc, że tajemnica naszego odkupienia wypełnia się jakby na dwu planach, z których drugi zależy od pierwszego, nie istniał by bez pierwszego: na planie historycznym Męki, Śmierci i Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa, Syna Bożego i na planie sakramentalnym, który ujmuje tę tajemnicę w obrzędy liturgiczne. Ofiara Mszy świętej nie podejmuje więc od nowa dzieła odkupienia, lecz je sobie przyswaja dla pożytku każdego z nas, lecz przywłaszcza je nam. Przez Eucharystię ofiara Chrystusowa staje się ofiarą coraz to nowych pokoleń, rośnie udziałem rosnącego Ciała. I to jest moment niezmiernej wagi.

Język polski nie odróżnia ofiary-czynności od ofiary-rzeczy (sacrificium — victima). Eucharystia jest jednym i drugim w nierozdzielnej jedności, czynnością ofiarną i rzeczą ofiarowaną, prawdziwym Ciałem i Krwią Chrystusa Pana składanymi w ofierze oraz ofiarą tego Ciała Najświętszego i Najświętszej Krwi. Czynność jest zawsze ta sama, gdyż Ofiarnik jest ten sam. Ale rzecz ofiarowana rośnie w miarę wzrostu mistycznego Ciała. Albowiem w Eucharystii Chrystus nie jest Sam, lecz jako Głowa wraz ze swoim Ciałem. I choć świętość Ciała z Głowy jest („*tu solus Sanctus*") i wzrost Ciała mistycznego nie

przydaje wartości ofierze, jako takiej, to jednak wzrost ten realizuje poprzez wieki cel ofiary Chrystusowej, przedłużonej w Eucharystii, *którym jest budowanie Ciała Chrystusowego,* „ażebyśmy się wszyscy zeszli w jedność wiary i poznania Syna Bożego, w męża doskonałego, w miarę wieku zupełności Chrystusowej ...*aby Bóg był wszystkim we wszystkich*" (Ef. IV, 12-13; I Kor. XV, 28).

W tym znaczeniu można rzec, że nie ma dwu Mszy identycznych, gdyż każda nowa Msza ofiarowuje Bogu Ciało mistyczne wzbogacone poprzednimi ofiarami. Za pośrednictwem Eucharystii Chrystus zapładnia swoją „słodką Oblubienicę" ku coraz większemu przyrostowi dzieci Bożych. Z każdą nową ofiarą rośnie Kościół, ofiarowany wraz z Chrystusem, i korzystający z Jego Ofiary. „Quod sacrificium — pisze św. Augustyn — etiam sacramento altaris fidelibus noto frequentat Ecclesia, ubi ei demonstratur, *quod in ea re, quam offert ipsa offeratur*". Jest to ofiara, którą Kościół wznawia w sakramencie ołtarza, dobrze znanym wszystkim wiernym, okazując że w rzeczy, którą ofiarowuje, jest ofiarowany sam (Civ. Dei, lib. X, cap. 6).

***

Stwierdziliśmy, że ofiara jest istotą religii. Że poprzez wieki człowiek daremnie szukał ofiary doskonałej, godnej Boga. Że Chrystus, Człowiek-Bóg, wypełnił to szukanie i tę tęsknotę, ofiarowując siebie samego na drzewie Krzyża,

wraz z nami i w naszym imieniu, jako Głowa mistycznego Ciała. Że tę ofiarę doskonałą, spełnioną raz, przywłaszczył nam i wciąż przywłaszcza w Eucharystii. Że więc przez Eucharystię sprawuje wzrost i jedność Kościoła. Jaki wniosek nasuwają nam te prawdy olśniewające?

„Chodzimy" na Mszę, przyjmujemy Komunię świętą, ale nie zawsze zdajemy sobie sprawę, czym jest ta Msza i czym ta Komunia. Nie rozumiemy i nie zgłębiamy tajemnicy ofiary Eucharystycznej, która jest istotą Mszy. Nie widzimy w Komunii uczty ofiarnej, nierozdzielnie związanej z samą Ofiarą. Bywamy na Mszy, ale nie uczestniczymy we Mszy. I dlatego korzystamy tak niedostatecznie i źle z Ofiary Chrystusowej, dającej się nam w Eucharystii.

Nie tu miejsce na zgłębianie tej przedziwnej tajemnicy. Pragnieniem moim jest, aby te słowa ubogie wiodły do rozważania „niedościgłych bogactw Chrystusowych" u wielkich i mądrych źródeł, a zwłaszcza w tej szkole nad szkoły, którą jest modlitwa. Wydaje mi się, że coraz większe i serdeczniejsze zrozumienie istoty ofiary i Ofiary Chrystusowej musi doprowadzić do lepszego korzystania z niej. Jakżeż często pojmujemy Komunię świętą indywidualnie i egocentrycznie, komunikując bez żadnej potrzeby przed lub poza Mszą! Jakżeż często nie doceniamy Komunii, nie komunikując wcale! Mówimy: to nasza sprawa. Nieprawda! Odmawiając Komunii lub komunikując źle krzywdzimy Chrystusa, nie dajemy Mu róść. Porzućmy wreszcie nasz własny kąt

widzenia, patrzmy na sprawy wejrzeniem wiary, wejrzeniem Bożym. Cóżbyśmy rzekli o człowieku, któryby zakopał w ziemi bezcenny skarb? Tak czynimy my, nie przywłaszczając sobie Chrystusowej ofiary. Chrystus chce w nas róść, jako w swoich członkach. Przez Komunię Chrystus napełnia nas sobą i gdy nie komunikujemy krzywdzimy Go tak, jak krzywdzilibyśmy dziecko, nie dając mu jeść i przez to hamując jego wzrost. Krzywdzimy Go całego, w mistycznym Ciele. Nie wiemy kto z naszych braci, może dalekich, jest dziś głodny naszej Komunii, ilu członków Chrystusowych czeka na naszą ofiarę. Ofiara eucharystyczna jest aktem społecznym i echo jej obejmuje okrąg ziemi. Kto wie czy czyściec nasz nie będzie polegać w dużej mierze na sprawdzaniu klęsk, wywołanych naszą dezercją? Nikt nie zbawia się sam i nikt się sam nie potępia.

Ofiara eucharystyczna jest źródłem naszej świętości, którą jest Chrystus w nas: *„Vivo ego, iam non ego...“* Przez Eucharystię Chrystus bierze nas w posiadanie i jest w nas tym, czym chce w nas być: wszystkim. Przywłaszczając sobie Jego ofiarę, przywłaszczamy sobie zarówno Jego wyniszczenie: *exinanivit semetipsum...* jak i Jego wywyższenie: *propter quod* Deus exaltavit eum...: całą Jego ofiarę. Stary człowiek musi zginąć, by ustąpić nowemu. To prawda że w naszej ułomności człowieczej nieraz doświadczamy tylko śmierci, nie zaś nowego życia. Na tym polegają straszliwe udręki mistycznych nocy.

Człowiek wie, co traci lecz nie wie, co zyskuje bezcennie. Jeżeli życie przyrodzone wymyka się naszemu doświadczeniu, jakżeż bardziej życie nadprzyrodzone? Niestety człowiek XX wieku, zapatrzony w siebie, trzymający nieustannie za puls własną duszę (czy raczej jej naskórek), zakochany w introspekcji nie rozumie i nie chce zrozumieć tajemnicy śmierci; nie wie i nie chce wiedzieć, że niszcząc co z nas, sam Bóg zajmuje puste miejsce, *że świat nadprzyrodzony podobnie jak świat przyrodzony nie cierpi próżni.* „Ta śmierć pozwala Bogu w nas żyć... ta nicość rozwiera nas na jego byt" (Condren). Nie są to dwie różne fazy, rozdzielone katastrofą. Nie zaczyna się od niszczenia, by potem zyskać nowy byt. Nie, zniszczenie „starego człowieka" jest jednocześnie wzrostem nowego. Tracąc duszę, jednocześnie odnajdujemy ją. Przywłaszczając nas sobie, jednocząc nas ze swoją ofiarą, Chrystus stopniowo zastępuje nas sobą, uświęca nas w sobie, jednoczy nas z sobą. Książki ascetyczne rozważają najczęściej ludzki aspekt tego dramatu. O wiele pełniejszy i wspanialszy jest w nim aspekt Boży. Wiele się mówi o tym, co trzeba poświęcić, odrzucić, wyniszczyć, czego trzeba się zaprzeć, wyrzec. O wiele mniej Komu ten trud karczowniczy gotuje miejsce. W pojęciu ofiary wielki nacisk kładzie się zwykle na Krzyż. O wiele mniejsze na Zmartwychwstanie, nierozłączne od Krzyża. Mówi się wiele o śmierci sobie. Mniej o życiu Boga w nas. Takie jednostronne ujęcie fałszuje tajemnicę ofiary i zniechęca dusze. Iluż

chrześcijan widzi w życiu wewnętrznym niebezpieczne ryzyko, w częstej Komunii niebezpieczeństwo dla własnej, ludzkiej samoistności! Wolą praktykować „w miarę" (czyli raz do roku), gdyż boją się Boga i Jego żądań. Nie wiedzą nieszczęśni, czym jest Boży dar i jak nieskończenie przerasta naszą biedną, ludzką cenę. Cobyśmy powiedzieli o człowieku, zaciskającym kurczowo zwykłe kamyki i nie patrzącym nawet na klejnoty, które król chciałby dać mu wzamian? Znamy aż nadto dobrze nasze kamyki. Nie znamy skarbów, którymi chce je zastąpić Bóg.

***

Przez Eucharystię przywłaszczamy sobie ofiarę Chrystusową i jej owoc bezcenny, którym jest zjednoczenie z Bogiem. Wraz z kapłanem, naszym rzecznikiem i zastępcą Jedynego Kapłana, pełnimy swój przywilej królewski: „regale sacerdotium". Uczestniczymy w kapłaństwie Chrystusowym i uczestniczymy w Jego ofierze. Nie napróżno postacie ofiarne, chleb i wino, składają się z mnóstwa ziarn, z mnóstwa gron. Tak i my wielu jednym jesteśmy w Chrystusie, naszej Ofierze. Obyczajem ofiarnym przynosimy chleb, przynosimy wino, oddajemy je Bogu. I Bóg przyjmuje naszą ofiarę, konsekrując ją. Chleb staje się Ciałem Chrystusowym, wino Chrystusową Krwią. W ofierze z chleba i z wina przywłaszczamy sobie Chrystusową ofiarę, złożoną na Krzyżu. Mamy na ołtarzu Jego prawdziwe Ciało i Krew, przelaną za nas, Chrystusa całego,

ale już w stanie niecierpiętliwym: „Chrystus powstawszy z martwych więcej nie umiera" (Rzym. VI, 9), — w glorii wniebowstąpienia i w jedności z Kościołem, rosnącym z dnia na dzień. I oto przyjąwszy naszą ofiarę Bóg oddaje ją nam, przeistoczoną. Zaprasza nas do uczty ofiarnej w Komunii. W niewysłowionym dramacie Mszy wypełnia się sama istota ofiary: omne opus quod agitur ut *sancta societate inhaereamus Deo*. Dzieło, któreśmy spełnili po to jest, by nas doprowadzić do zaciśnienia naszej społeczności z Bogiem przez Komunię. Komunia jest częścią i uwieńczeniem naszej ofiary, bez niej uczestnictwo nasze w Mszy nie byłoby zupełne. Wiedzieli o tym pierwsi chrześcijanie — agapy ich były prawdziwie „ucztami ofiarnymi", w których udział brali wszyscy uczestnicy ofiary. Ale nasze pokolenia zatraciły świadomość Mszy-ofiary i dlatego korzystają z niej tak źle. Budzący się ruch liturgiczny zapowiada wprawdzie upragniony nawrót do źródeł chrześcijaństwa. Ale choć robi się wiele, więcej jeszcze pozostaje do zrobienia. Żyjemy w czasach, w których każdy katolik winien być apostołem Eucharystii, nie tylko przykładem, lecz i słowem, coraz pełniejszą znajomością tajemnicy ofiary, będącej źródłem życia.

Jednocząc nas z Chrystusem, ofiara Eucharystyczna zaszczepia w nas Jego życie, przeobraża nasze życie przyrodzone w Jego życie Boże. W ten sposób realizuje się w pełni cel ofiary: „aby Bóg był w nas, jako Bóg, więcej niż my sami" (Condren). To wyniszczenie jest rękojmią

przedziwnej odnowy. Im mniej jest nas, tym więcej Boga. W miarę, jak przyswajamy sobie ofiarę Chrystusową, Chrystus rośnie w nas, czyż kosztem nas? Nie nas, lecz starego człowieka, który zdradza nasze głębokie ja, to dziecię Boże w nas. Pozorny paradoks, który wielki poeta katolicki, Claudel wyraził w tym zdaniu nieśmiertelnym: „*Il faut... Quelqu'un qui soit en moi plus moi même que moi* — Ktoś, kto byłby we mnie bardziej mną niż ja sam". Zastępując nas, Chrystus wypełnia nas — tracąc dlań duszę, odnajdujemy ją stokrotnie. Nie mylił się instynkt ludzkości, przeczuwając przez długie wieki że dar, złożony Bóstwu w ofierze, powraca uświęcony. Człowiek daje po ludzku i to, co ludzkie — Bóg oddaje na własną modłę — Boże.

Powtórzmy raz jeszcze: dla nas chrześcijan nie ma pod słońcem sprawy ważniejszej nad ofiarę Chrystusową i obowiązku ważniejszego nad korzystanie z niej. Życie każdego z nas powinno być jedną, wielką Mszą. Pozwólmy, aby Chrystus był w nas więcej niż my sami, ustąpmy Mu miejsca, aby żył w nas własnym, Bożym życiem. Ze wszystkiego, co nas spotyka, czyńmy materię naszej ofiary — oddawajmy Chrystusowi siebie i wszystko co nasze, na konsekrację w chwale. Tu nie chodzi o czyny, o słowa — lecz o pełne przyzwolenie działaniu łaski w nas. Łaski krzyżującej (starego człowieka) i łaski wskrzeszającej (człowieka nowego). W tym podwójnym i nierozdzielnym rytmie ofiary jednoczymy się z Chrystusem i z Jego Kościołem, stajemy się „uczestni-

kami przyrodzenia Bożego", „divinae consortes naturae". Patrzmy na życie oczyma wiary: na cóż zda się każdy nasz dzień, jeśli nie zamienimy go na dar? Na cóż zda się każda rzecz, jeśli nie jest ofiarą? Sobie zostawiona — ginie. Jesteśmy wielkimi marnotrawcami cierpień naszych, radości i człowieczych spraw. Lecz w Chrystusie wszystko, co nasze, odnajduje swój sens: staje się ofiarą chwały — *hostia laudis.* Nie krzyżujmy planów Bożych. Dajmy Chrystusowi być w nas tym, czym chce w nas być, przywłaszczając Go sobie i my dajmy Mu się przywłaszczyć: byśmy przez Niego, z Nim i w Nim byli „doskonałymi w jedno": *„consummati in unum"* (Jan XVII, 23).

Maria Winowska

EUCHARYSTIA PRZEDŁUŻENIEM I UZUPEŁNIENIEM MSZY ŚW.

Słyszy się nieraz o celowości w naturze, której prawa podyktowała i urządziła Najwyższa Mądrość Boga. Jeżeli już człowiek istotnie rozumny nie działa, nie mówi niczego bezcelowo, bo to niegodne myślącego człowieka, tym bardziej Bóg, Mądrość istotna nie może nigdy w swym działaniu nie mieć rozumnego celu. Lecz tak, jak najmędrsze prawa, najlepsze rzeczy można przez bezmyślność uczynić nie tylko niepożytecznymi, ale wprost szkodliwymi, nieznośnymi, tak wniknięcie, zrozumienie celowości sprawia, że w całej pełni służą celowi swojemu, stają się nam drogimi, niezbędnymi.

Podobnie się rzecz ma i w dziedzinie najwyższej, bo nadprzyrodzonej, której celowość jest najbardziej transcendentalną, opartą na przesłankach najwyższej Prawdy, jaką jest Bóg. Zdaje mi się — nie — mam pewność zupełną, że, gdybyśmy prawa Boskie, Sakramenta św., całą naukę Kościoła i jego ceremonie oświetlali nie kagankiem słabego naszego rozumu, lecz pro-

mieniami słońca Boskiej Mądrości, gdybyśmy wniknęli choć trochę w przepastne głębie urządzeń Bożych, w ich celowość najmędrszą, — to wtedy nie odnosilibyśmy się do nich nieraz tak niechętnie, tak łatwo nimi nie nużyli — nie brali ich tak szablonowo bez żadnego odblasku dla umysłu, bez żadnego ognia zapału dla serca naszego. Wtedy całe życie nasze religijne, nasze zasady, nasze uczestnictwo w świętych obrzędach Kościoła, byłoby dla nas niewyczerpalnym źródłem łask, oświeceń, gorliwości i szczęścia najbardziej niewzruszonego, bo opartego na Bogu samym. — I właśnie dla tej krótkowzroczności naszej duchowej, tego braku zastanowienia się nad celowością praktyk religijnych, Kościół św. każe nam się modlić o to „rozumne służenie" Bogu, wołając w Litanii do WW. Świętych: „Ut obsequium servitutis nostrae rationabile facias!" — „Abyś rozumnym uczynił hołd służby naszej!" — Jakże trudno, niemożliwie jest kochać coś, kogoś, czego się nie zna, nie rozumie! Już starożytny mędrzec swym czysto ludzkim rozumem wyraził tę prawdę w znanym zdaniu: „Nihil volitum, nisi praecognitum" — „Czego się nie zna, tego nie można chcieć miłować". Czego się nie zna — nie rozumie, tego nie można ocenić według wartości, użyć według celowości; tego nie można kochać w stopniu niższym lub wyższym, zależnie od jego wartości. — Musimy nieco głębiej wniknąć w myśl Bożą, czyli w celowość Najśw. Eucharystii — by ta najgłębsza z tajemnic naszej wiary świętej nie była nam bez-

użyteczną lub nużącą tajemnicą, lecz według myśli Bożej źródłem życia, światła i szczęścia.

***

Eucharystia jest przedłużeniem — Komunia św. uzupełnieniem Mszy św. — Co to znaczy? Jaki sens w tym zagadnieniu? — Według mnie, taki: iż nie można brać oddzielnie Najśw. Sakramentu obecnego w tabernakulach naszych ołtarzy od Ofiary Mszy św., lub przekładać adorację czy nawiedzenie Najśw. Eucharystii nad Mszę św. — to jedna myśl. — A druga: iż Msza św. bez Komunii św. jest niezupełną — ani Komunia św. poza Mszą św. (wyjąwszy chorych lub osoby bardzo zajęte) nie ma w sobie pełności aktu liturgicznego, jest oddzieloną od swego źródła, t. j.: Mszy św., i nie ma tak głębokiego wpływu pedagogicznego na życie duszy naszej.

Żeby to lepiej zrozumieć, trzeba wniknąć w myśl Bożą w ustanowieniu Najśw. Eucharystii. — Wtedy, jako istoty rozumne, poznawszy cel Eucharystii i zamiary Boga względem nas, zrozumiemy jak nam wobec Niej zachować się należy i będziemy musieli oddać miłość za Miłość, czyli upodobnić się do przedmiotu umiłowanego.

Co mówi nam Katechizm o Eucharystii? *Po pierwsze:* że Eucharystia czyli Najśw. Sakrament, jest to prawdziwe Ciało i Krew Pana Naszego Jezusa Chrystusa pod sakramentalnymi postaciami chleba i wina, po konsekracji tychże. — *Po drugie:* że Eucharystia, to tajemniczy po-

karm, uczta niebiańska, w której pod postaciami chleba i wina przyjmujemy prawdziwe Ciało i Krew Jezusa Chrystusa. — Wreszcie, *po trzecie*: że te sakramentalne postacie zawierają Eucharystycznego Jezusa w tym samym stanie całopalnej ofiary, jaką był na krzyżu Kalwaryjskim. — Zauważyliśmy zatem trzy momenty: 1. Chleb i wino muszą być konsekrowane — przemienione — tak, by postacie pozostały a istotą było Ciało i Krew Chrystusowa. — 2. Że to Ciało i Krew Chrystusowa, czyli Jezus, jest tu w stanie całopalnej ofiary — i, w końcu, 3. że to sakramentalne Ciało Jezusa jest pokarmem — ucztą Boga przebłaganego przez tęż ofiarę z dziećmi swymi przybranymi. — Mówiąc pokrótce: mamy wytłumaczenie istoty Mszy św.: odejmijmy tylko z niej części wstępne, stanowiące jakby jej ramy, a pozostawmy Konsekrację, Ofiarowanie Bogu Ojcu Najśw. Ofiary — Komunię Kapłana i wiernych. Może zrozumiemy lepiej myśl P. Jezusa, gdy przypomnimy sobie pierwszą w świecie Mszę św.

Podczas ostatniej Wieczerzy Pańskiej, a dla nas Pierwszej Mszy św., dokonało się to pierwsze, najświętsze przeistoczenie, ta konsekracja chleba i wina na prawdziwe Ciało i Krew Jezusa, gdy „wziął chleb w Swe święte, czcigodne ręce i podniósłszy oczy w niebo do Boga Ojca Swego Wszechmocnego“, rzekł: „Oto Ciało moje — oto Krew moja, która za was i za wielu wylaną będzie“. Dlaczego ta konsekracja tuż przed Męką — dlaczego Komunia Apostołów, skoro Jezus żyjący pośród nich? — Posłuchajmy św. Jana:

„Przede dniem świętym Paschy, *wiedząc Jezus, iż przyszła godzina Jego*", nie tylko wiedząc, ale oddawszy już Siebie w chwili Wcielenia na ofiarę dla zbawienia świata, tuż przed rozpoczęciem krwawej Swej Męki, był nią istotnie podczas Ostatniej Wieczerzy. Była to więc Pierwsza Msza św. — który to właściwie moment ofiarniczy zabicia — zaczął się w chwili gdy Chrystus wyrzekł: „Hoc est Corpus — hoc est calix Sanguinis mei", a skończyła się ta Przenajświętsza Pierwsza Msza św. o tej „dziewiątej godzinie" Wielkiego Piątku, gdy Jezus „skłoniwszy głowę, ducha oddał". Przeistoczenie Ostatniej Wieczerzy i ofiara całopalna Jezusa w Jego Męce, to całość nierozerwalna. — W tej wielkiej pierwszej Mszy św. Wielkoczwartkowo-piątkowej była też i wielka pierwsza Komunia święta. Jezus oddał się Swym ukochanym uczniom, oddał Swe Najśw. Ciało, a wraz z nim i Swe Bóstwo. Dał się im jako Ofiara, przyjął ich w Siebie jako Ofiara sprawiedliwości Ojca Nieb., by członki Jego mistyczne wraz z Nim ofiarowane zostały na Kalwarii jako żertwy chwalby i zadośćuczynienia. Dlatego Komunia św. Apostołów z Jezusem w Wieczerniku będącym jest już ofiarą Kalwaryjską w swym pierwszym akcie. — Widzimy może choć trochę lepiej, że Eucharystia to ofiara w pierwszym rzędzie, — że celem jej być ofiarą, — jako ofiara, trwać na ołtarzu — jako ofiara nam się oddawać. — Lecz poco ciągle ofiara?

Bóg musiał być za grzech pierworodny i grzechy osobiste przebłaganym. Trzeba było ofiary (co zresztą spotykamy we wszystkich, nawet najmniej duchowych, religiach). Ofiarą tą, jedynie godną Boga, mógł być jedynie Bóg wcielony — i był nią Jezus Chrystus. Przychodzącemu na świat Zbawicielowi już wkłada Psalmista w usta te słowa: „Ofiary ani oblaty nie chciałeś, aleś mi ciało sposobił". Całe życie Jezusa było ofiarą i dokonało się w tej najwyższej, całopalnej, krwawej ofierze Jego Męki i śmierci Krzyżowej. — Lecz Jezus jest dla nas nie tylko Odkupicielem — ale równocześnie „drogą powrotną", którą mamy po grzechu pierworodnym powrócić do Boga, „żaden nie przychodzi do Ojca, jedno przeze mnie", musiał wymyśleć sposób, aby nas uczynić niejako Sobą, byśmy mogli powrócić do Ojca jako „drugi Chrystus". Tym sposobem jest właśnie Eucharystia. Jezus daje nam Siebie pod postacią Chleba i Wina — daje pod postacią ofiary, byśmy tak, jak On nas zbawił przez Swą ofiarę krzyżową — współzbawili siebie, żyjąc z Nim i przez Niego życiem ofiary, życiem ukrzyżowanym dla grzechu i złych skłonności naszych. Nie możemy iść do Ojca niebieskiego inną drogą, jak przez Tego, który jest „Drogą, Prawdą i Żywotem". Czyli celem ustanowienia Mszy św. jest ponawianie ustawiczne w sposób bezkrwawy Męki i Śmierci Chrystusowej, byśmy z niej czerpali dziś i teraz te owoce, jakie nam wtedy Chrystus wysłużył — byśmy uczestniczyli w tej ofierze, przyjmując tę Ofiarę do dusz i serc

naszych, a potem żyli jak On duchem ofiary — i tak zbawili siebie i drugich. Jezus chce żyć w nas, wszak Sam powiedział: „kto pożywa Ciało moje i Krew moją, we Mnie mieszka, a Ja w nim". — Inaczej być nie może, bo Jezus zbyt nas kocha, by nam chciał dać coś mniej pięknego, dobrego, uszczęśliwiającego — jak Bóg Sam. A czy można równocześnie prawdziwie miłować Boga, a przytem dogadzać grzesznym swym skłonnościom? Czyż miłość nie upodabnia? Jedyną drogą — to zaparcie, ofiara. — Jasne więc chyba, że Msza św. bez Komunii św. jest niezupełną, brakuje naszego uczestnictwa w Ofierze — brakuje tej „naszej mszy", przeżywanej po wyjściu z Kościoła, by zawsze i wszędzie być „ukrzyżowanym wraz z Chrystusem". Mówią o tym głębokie Sekrety i Pokomunie Mszy św., np. w Uroczystość Trójcy św.

Eucharystia przedłużeniem Mszy św. O tym już teraz długo mówić nie trzeba. Rozumiemy dobrze, że obecność Jezusa na ołtarzach naszych, Jezusa ukrytego w Tabernakulum, jest trzeciorzędnego znaczenia, i tylko o tyle ma wpływ na nasze życie duchowe, o ile pamiętamy, że to *przedłużenie Mszy św.* — Najświętszej Ofiary, że Jezus jest tu nadal obecnym w stanie ofiary, by nam był towarzyszem, zachętą, wzorem życia ofiary. — W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, wszyscy wierni komunikowali na każdej Mszy św. — nikt nie myślał o Komunii św. poza Mszą św. — bo tak przekazali im to Apostołowie; — chowano jedynie Najśw. Sakrament w tak

zwanych „głębiach“, aby zanosić więźniom, chorym czy umierającym. Nie myślano o adoracji w Tabernakulum — bo żywiej wierzono aniżeli my, że „kto pożywa Ciało Jego i pije Krew Jego“, w tym Jezus „mieszka, a on w Nim“. Myślano raczej, by żyć Jezusem w Jezusie, aniżeli szukać Go poza sobą. — Dziś Kościół pozwala i zachęca do adoracji i nawiedzania Najśw. Eucharystii i dobrze nam z tym. Ten Jezus ukryty, milczący, wyniszczony w tej małej okruszynie chleba — jakaż to mowa potężna dla tego, kto jej słuchać zechce sercem wierzącym i kochającym! Dobrze nam przypomnieć sobie w godzinach popołudniowych, gdy nawiedzamy P. Jezusa, gdy Go adorujemy, że On, ta nieustająca Ofiara Miłości, wstąpił dziś rano do duszy naszej, uświęcił Swym Najczystszym Ciałem ciało nasze — że chce, byśmy żyli Nim — z Nim i dla Niego życiem milczenia, wyniszczenia, uległości — jak ta Hostia biała... Dobrze jest przypomnieć sobie — że Jezus „in finem dilexit nos“ — „do końca nas umiłował“, — że Jezus, a Miłość Przedwieczna wcielona w Jego Boskim Sercu — to jedno i to samo. Dobrze jest sobie przypomnieć o tym, gdy nam cierpienie łzy z oczu wyciska, a serce boleśnie się wije — On tu jest — On, Miłość Przedwieczna — On zawsze mnie kocha — wszystko z miłości ku mnie zsyła czy dopuszcza. — Czy mogę wątpić? Wszak mam tu dowód: Eucharystia przedłużeniem Ofiary Kalwaryjskiej — in finem dilexit me — do końca mnie umiłował...

Czy zrozumiawszy celowość Eucharystii — będziemy się nudzili podczas Mszy św.? — czy Komunię św. codzienną nazwiemy nadal przesadną dewocją? — czy raczej nie stanie się ona potrzebą duszy naszej? — Czy uczestnictwo istotne we Mszy św. przez ofiarowanie nas samych podczas Ofiarowania, a potem Komunii św. nie będzie dla nas źródłem coraz to większego światła dla umysłu, a żaru miłości dla woli naszej? — Poznanie i miłowanie Boga tu na ziemi przez łaskę, jest początkiem życia wiekuistego — tego szczęścia oglądania i posiadania Boga w chwale wiekuistego żywota.

Absconditus

WPŁYW CZĘSTEJ I DOBREJ KOMUNII ŚW. MATKI, NA UŚWIĘCENIE CAŁEJ RODZINY

„Dajcie mi matki chrześcijańskie, a ja nawrócę cały świat“).*

Porą zimową, w domu słabo oświetlonym, można było zauważyć w jednej miejscowości często zgromadzające się kobiety. Wolny od zajęć czas spędzały na wspólnej rozmowie, w której skarżyły się na obecne ciężkie czasy, dające się we znaki wszystkim, a szczególnie ludności wiejskiej. Przygnębienie wywołane obecnym kryzysem materialnym, potęgowały sprawozdania wzajemne z wysiłków, które każda z nich podejmowała, jako dobra matka, jako dobra małżonka, jako dobra sąsiadka. „Cóż mi z tego, że człowiek stara się jak tylko może, skoro poczynania moje są bezskuteczne“, skarży się jedna; „syn nie wie, kto to jest matka“, mówi druga; „córka chętniej idzie za radą obcego“, ciągnie dalej trzecia; „mąż, zamiast pomocą być dla mnie, burzy swoim postępowaniem to, co było owocem ciężkiej mojej pracy“, dorzuca czwarta.

Takich obrazów spotkać można dziś bardzo dużo. Jezus Chrystus — Bóg miał przed Swymi oczyma to bojowanie człowieka na ziemi, które jest treścią jego

---

*) Słowa pap. Piusa IX wyp. do pielgrzymki Franc. błagającej o ratunek dla ginącej Francji.

życia; dlatego nie poprzestał na szukaniu co było zginęło z domu Izraela, nie poprzestał na złożeniu przebłagalnej ofiary krwawej na drzewie krzyżowym, nie poprzestał na ustanowieniu nieustannej Ofiary — Mszy św., w której w sposób bezkrwawy powtarza Swą Ofiarę kalwaryjską, On umiłowawszy swoje, do końca je umiłował i w sakramencie miłości ukrył się pod skromnymi postaciami chleba, aby po wszystkie dni, aż do skończenia świata, być dla nas, dzieci swoich, Ojcem, Bratem, Przyjacielem, Lekarzem, Boskim Cyrenejczykiem, pomagającym nam dźwigać krzyż doczesnego życia i z tabernakulum, z tego tronu sakramentalnego, z tego więzienia miłości zdaje się wołać nieustannie Mistrz nasz Jezus Chrystus: Człowiecze! skarżący się na ciężar dnia i upalenia, pójdź do mnie! Pójdź do mnie, który pracujesz i obciążony jesteś, Jam Chleb żywy, który z nieba zstąpił, kto pożywać go będzie ten nie zasłabnie, ten nie ustanie, lecz mimo burze najrozmaitsze, do końca życia potykaniem dobrym się będzie potykał, wiary dochowa, zawodu dokona i zato wieniec sprawiedliwości z rąk Boga otrzyma.

Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę. Pójdź do mnie ojcze, troską o rodzinę całą przegnieciony, którego odpowiedzialność wielka przed Bogiem, a ja cię ochłodzę. Pójdź do mnie młodzieńcze na rozdrożu stojący, a ja ci wskażę drogę do zbawienia wiecznego prowadzącą. Pójdź do mnie dziewczyno w naiwności swojej niepojęta, a ja ci będę doradcą i przyjacielem; pójdź do mnie dziecko małe, a ja cię utrzymam na drodze niewinności, i wskazywał ciebie będę innym; „Jeśli się nie staniecie jako te dziatki, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego". Pójdź do mnie i ty starcze, a ja ci będę ukojeniem w ostatnich chwilach twoich. Pójdźcie do mnie wszyscy! Od Boga wyszliście i do Boga wrócić musicie, a nie ma skuteczniejszej pomocy, by dojść do doskonałości nad częstą i godną Komu-

nię św. „Zaprawdę powiadam wam, jeślibyście nie jedli Ciała Syna Człowieczego i nie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli żywota w sobie“ (Jan VI, 54). Wszystkich woła Jezus Chrystus do Siebie, lecz w pierwszym rzędzie chodzi Mu o matki, bo „wszystko szczęście, pochodzenie rodziny, wioski, kraju od matki zawisło, bo my, ile nas jest, jeśli co jest dobrego w nas, po Bogu, matce swojej zawdzięczamy“, mówi ks. Antoniewicz (czyt. Kaz. I, str. 320). Ciebie więc matko Jezus przede wszystkim woła do Siebie. Tobie, jako pierwszej kapłance, mistrzyni i wychowawczyni w rodzinie, chce wlać umiejętność tej wielkiej sztuki, wychowania dziecka; w sercu twoim chce rozpalić ku niemu miłość prawdziwie Bożą, serce twoje chce napełnić mocą i siłą, abyś w pracy tej ciężkiej nie potknęła się; a zatem dzisiaj, skoro słyszysz głos Pański, nie zamykaj serca swego przed nim, lecz pozwól, by Jego słowo znalazło grunt dobry u ciebie i wydało owoc ku zbawieniu twojemu i twojej rodziny.

Matko! Tyś pierwszą i główną wychowawczynią dziecka zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy to zadanie spoczęło prawie wyłącznie na twoich barkach; toteż z polecenia Bożego dołożyć masz wszystkich sił i starań, ażeby dziecko twe było dobre i bogobojne.

Przychodzi ono na świat z grzechem pierworodnym, jako spuścizną po swoich pierwszych rodzicach; aczkolwiek plama owa zostaje usunięta na chrzcie św. a dusza jego przyobleczona szatą łaski poświęcającej, to jednak żądze i namiętności, jako następstwa grzechu pierworodnego będą jego towarzyszami przez całe życie, osłabione wprawdzie, bo osłabione, ale zostają i niby iskry ukryte w popiele tkwią w nim. Otóż matko, czuwając nad swoją krwią i ciałem w dziecku się znajdującym, masz być narzędziem w ręku samego Boga, masz w dalszym ciągu osłabiać, niszczyć owe zarody zła, a na ich miejscu zasadzać przeciwne im cnoty.

Jeśli zaś, matko, pracujesz, a skutków swej pracy nie możesz zobaczyć, widocznie twemu wychowaniu czegoś brakuje, nie jest ono należyte. Jezus Chrystus wychowawca niedościgniony, chce ci dopomóc, chce cię nauczyć, chce cię stale uczyć tej wielkiej sztuki skutecznej pracy nad prowadzeniem powierzonego ci przezeń dziecięcia.

Chcąc wychować dziecko dobrze i bogobojnie, musisz je kochać całym sercem, ale kochać po Bożemu, bo miłość twoja dla dziecka, to słońce dla kiełkującej rośliny i jak ta ostatnia zmarnieje, skoro jej zabraknie ożywczych promieni słońca, tak podobny los spotka dzieci, które są pozbawione matczynego ciepła należytej miłości. Kochasz, matko, bo starasz się wszelkimi siłami, by dziecko dobrze wyglądało, by ładnie było ubrane, by grzecznym się okazało w pożyciu z drugimi, jednym słowem, chciałabyś niebo zgotować swemu dziecku już tu na ziemi. Ale czy jesteś zadowolona z tej miłości, objawiającej się w powyższych skutkach? Czy twoja miłość ku dziecku troszczy się, by ono modlitwą zaczynało i kończyło dzień, czy troszczy się twoja miłość, by dziecko często widzieć u kratek konfesjonału i krzepiące swoje wątłe siły duchowe i fizyczne Eucharystycznym Ciałem Chrystusa; czy troszczy się twoja miłość, ażeby wyrywać z jego serca najrozmaitsze wady, jakie dają się zauważyć u dziecka twojego na każdym kroku, jednym słowem, czy miłość twoja widzi w dziecku depozyt Boży, dobre dziecko Kościoła, nadzieję kraju, chlubę narodu i dziedzica nieba? Otóż dlaczego Jezus ciebie szczególnie woła do Siebie. On chce w twym sercu rozpalić taką miłość, która nie poskąpi dziecku macierzyńskich pieszczot i starań o jego ciało, ale szczególną uwagę będzie zwracać na jego duszę nieśmiertelną, wiecznie trwającą, od Boga wyszłą i do Boga wrócić mającą.

Ona każe ci ustawicznie zaszczepiać w duszę maleństwa upodobanie do wszystkiego co dobre, piękne

i prawdziwe, każe ci budzić w jego młodym sercu nienawiść do zła, grzechu, brudu i fałszu, każe ci się starać o zapoznanie dziecka z Bogiem, bez którego znajomości, nie ma miłości ku Niemu, a bez miłości ku Niemu, nie ma służby dla Niego, a bez służby dla Niego, nie ma dla twego dziecka wiecznego szczęścia.

Obok miłości chrześcijańskiej, potrzeba ci matko wielkiej mocy i siły. Miłość bez mocy psuje dzieci, a moc bez miłości łamie je. U wszystkich dzieci zauważyć można najrozmaitsze skłonności do zła, więc ty matko musisz je energicznie niszczyć i to wcześnie, aby się nie zakorzeniły u dziecka i zapanowały nad nim jako nałogi ; do tego zaś potrzeba ci wielkiego hartu ducha, byś potrafiła oprzeć się prośbom, a nawet łzom twojego dziecka ; ono bowiem chcąc na tobie coś wymóc, będzie cię prosić, błagać, płakać, rzucać się, a nawet gniewać się potrafi ; słaba matka da się przeciągnąć, chociaż zwyczajnie widzi, że źle robi ; zezwala dziecku niemal na wszystko, bo co mam robić — mówi — żal mi maleństwa. I znowu woła na ciebie Jezus Chrystus, pójdź, a otrzymasz ode mnie siłę wielką i hart ducha, dzięki któremu łagodnie, lecz stanowczo odmówisz niejednego dziecku, nie dasz się zmiękczyć nawet obfitym jego łzom.

Matko, nie zapominaj wreszcie o tym, że ty sama najpierw musisz być taką, jakim pragniesz mieć swoje dziecko, bo mówi Mędrzec Pański : „Sprawiedliwy, który w prawdzie chodzi, błogosławione po sobie syny zrodzi, natomiast synowie grzeszników, stawają się synami obrzydliwymi“ (Ekkl. LXI, 8). Mistrz nasz Jezus Chrystus jasno tę sprawę przedstawił w słowach : Nie może drzewo złe owoców dobrych rodzić, ani drzewo dobre owoców złych rodzić, czyli jakie drzewo, taki owoc, jaka matka, takie dziecko.

Jezus Chrystus wołając na cię matko, zapewnia : Kto pożywa Ciało moje, żyć będzie dla mnie, żyć będzie po Bożemu, a zatem naprawdę nie zamykaj serca swojego przed głosem Boga, lecz powiedz : mów, Pa-

nie, bo słucham i uczynię zadość Twemu życzeniu. Możesz zaś, matko, być pewną, że w Komunii św. znajdziesz to, co ci jest potrzebne, boć w niej przyjmujesz do swojej duszy samego Chrystusa Pana, a z Nim napełniasz swoje serce Jego życiem, a z nim otrzymujesz zdolności do działania po linii woli Bożej. Dusze przyjmujące Komunię św. — jak mówi św. Makary — napełnione zostają dobrami niebieskimi, bogactwami niezmierzonymi. Pan nasz daje im pokój i ciszę cudowną, polot ducha i wesele serca. Pan, którego w Komunii św. na tronie serca swojego osadzisz, oświecał będzie twój umysł, mówiąc do duszy głosem wewnętrznym i odsłaniając jej swoje tajniki, a im dusza twoja będzie pokorniejszą i posłuszniejszą, tym światło dla niej będzie obfitsze ; Pan na tronie serca twojego siedzący, podniecał będzie wolę twoją, by wykonywała to, co rozum poznał, będzie rozniecał w niej poprostu ogień i zagrzewał ją do poświęceń dla Boga i bliźnich ; Pan na tronie serca twojego siedzący, dostarczy ci broni przeciw mdłemu ciału twojemu, które burzy się przeciw duchowi i stara się go podbić w niewolę swoją ; Pan uśmierzy złą pożądliwość tkwiącą w ciele i buntujące się namiętności trzymać będzie w karbach ; On dostarczy ci broni przeciw światu, zrodzi zamiłowanie do rzeczy niebieskich, a wstręt do uciech ziemskich ; da ci broń przeciw szatanowi, który „jako lew ryczący szuka kogoby pożarł". Pan ukruci siłę złego ducha i strzały jego wstrzyma, jak mówi św. Ignacy Męczennik. Pan na tronie serca twojego siedzący, rozlewał będzie w duszy pociechy i osładzał będzie wszystkie przykrości, które jako matkę spotykać będą ; jako Ojciec, Przyjaciel i Brat odzywał się będzie wówczas do Ciebie : „Pójdź, która pracujesz i obciążona jesteś, a ja cię ochłodzę". Gdy upadać będziesz pod ciężarem dnia i upalenia — Pan da ci siłę do tego bojowania życiowego i wtedy powtarzać sobie będziesz za św. Pawłem : „Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia".

Ale, matko, w Komunii św. masz szukać nie tylko pomocy w pracy nad wychowaniem małych dzieci swoich i pomocy dla siebie, lecz pamiętaj, że od ciebie także zależy los twojego męża, twojego starszego syna, twej dojrzałej córki, że ty jesteś dla nich niejako apostołem. Ażeby ci to ułatwić, wyposażył cię Bóg nadzwyczajnym wpływem na mężczyzn tak, że jeden z poetów nie zawahał się powiedzieć: „Mężczyźni rządzą światem, a nimi kobiety", — wyposażył cię Bóg czymś, co pociąga i przykuwa dzieci do ciebie. Lecz dar ów otrzymała kobieta-matka nie na to, by ona sama była celem własnej adoracji, nie na to, by stanowiła bożyszcze, około którego mężczyzna ma tańczyć, jako żydzi przed złotym cielcem, lecz na to, by mężczyzn z natury mniej pobożnych, w praktykach religijnych oziębłych, do Boga prowadziła. A czymże najbardziej prowadzi? Sercem. Jak serce odświeża i roznosi krew po ciele, podobnie małżonka-matka rozlewać ma życie i zdrowie moralne na członków rodziny. Gdy ona moralnie zdrowa, gdy ona żyje w jedności z Chrystusem, do tej jedności pociągać będzie i pociągnie innych, którzy na nią, jako na małżonkę i matkę patrzą. Jak serce jest niejako ołtarzem, na którym człowiek składa swe ofiary Bogu i ludziom, podobnie małżonka za męża, matka za dzieci, gospodyni za dom cały składa ofiarę, modląc się za wszystkich gorąco, znosząc cierpliwie ich dokuczliwości, grymasy, oddalając od rodziny najrozmaitsze nieszczęścia. Jak serce pociąga swą łagodnością, dobrocią i słodyczą inne serca ku sobie i panuje nad nimi, podobnie małżonka-matka ma pociągać swoją dziwną, nie dającą się określić wrodzoną jej słodyczą, serca całej rodziny. I znowu Pan Jezus w Komunii św. do jej duszy przychodzący, będzie dla niej pomocą.

Przypatrz się zatem matko, kim jesteś? Jak wielkie i odpowiedzialne jest twoje zadanie w rodzinie! A jesteś tylko człowiekiem i może najsłabszym z ludzi, lecz na wynagrodzenie tego braku jesteś z natury

swojej bardzo pobożną, a mocy doda ci Pan Jezus, który woła tak słodko: pójdź! Pójdź, do częstej Komunii świętej, a uświęcisz siebie i całą rodzinę swoją. Toteż z wdzięcznością wielką garnij się do źródeł Zbawicielowych i czerpaj z nich umiejętność w pracy nad małymi, rozpalaj to serce dla nich miłością Chrystusową, czerpaj potrzebną ci bardzo siłę ducha, wprowadzaj do swojej duszy Chrystusa, a z Nim Jego życie, rozsiewaj wokoło siebie przykład dobry, który pociąga, a w ten sposób wywiążesz się jak najlepiej z zadania swojego i znajdziesz w tym rękojmię zbawienia wiecznego.

Ks. Franciszek Pelczar

MYŚL LITURGICZNA

MSZA ŚWIĘTA W ZASTOSOWANIU DO ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO DUSZY

Rozważania niniejsze wyjęte są z teki pośmiertnej śp. Siostry Marii Gertrudy (Skórzewskiej), zmarłej 19. XII. 1929 r. w klasztorze ss. Niepokalanek w Jazłowcu. Pochodziła ze zamożnej rodziny ziemiańskiej, odebrała wychowanie wykwintne; młodość upływała jej w podróżach zagranicą; w Rzymie obracała się wśród kolonii polskiej i znała najwybitniejsze osobistości XIX wieku. Toteż wpływ wytwornej kultury ówczesnej odbija się wyraziście w jej dziełach, tak wierszem jak i prozą pisanych. Obdarzona bujną wyobraźnią, polotem poetyckim, wybitnym darem pisarskim, była przy tym uosobieniem dobroci, wzorem cnót zakonnych i duszą wysoce kontemplacyjną. Na wiele pokoleń uczennic wywarła głęboki i trwały wpływ przez wykłady religii, prowadzone przez pół wieku z górą w zakładach wychowawczych ss. Niepokalanek.

Pracowała przy tym niestrudzenie na niwie literackiej pod pseudonimem Margert (Maria-Gertruda) wydając szereg utworów scenicznych dla młodzieży (jak „Św. Augustyn“, „Św. Cecylia“, „Unici“, „Warneńczyk“, „Jadwiga“, „Obrona Częstochowy“ itp.) oraz powieści historyczne, jak „Bogiem a prawdą“, „Irena“, którą można nazwać „polską Fabiolą“, a przede wszystkim „Savonarola“, która obecnie wyszła w trzecim wydaniu nakładem Księgarni św. Wojciecha.

Redakcja

Msza św. jako powtórzenie najważniejszego wypadku świata: ofiary Pana naszego Jezusa Chrystusa na Kalwarii jest zarazem streszczeniem całych dziejów ludzkości zbawionej, wszystkich aktów i czynów dusz wiernych, — wyrazem przedziwnym życia wewnętrznego. — Rzeczywiście całe się ono wypowiada w miłości, a miłość jedno zna dzieło: ofiarę. Jak więc Pan Jezus całe życie swoje i całego siebie ofiarował na Kalwarii, gdzie miłość swą wieczną wyraził po wszystkie czasy w Krzyżowej Ofierze, — tak kapłan odnawiający przy ołtarzu tę najświętszą chwilę wypowiada w imieniu Kościoła w łączności z Jedynym Najwyższym Ofiarnikiem naszym, z Synem Bożym, wszystko cokolwiek świętego wydać może miłość dzieci Bożych w życiu nadprzyrodzonym.

I tak: życie to zacząć się musi od upokorzenia, bo pokora najpierwszą zgłoską w języku miłości, kapłan też uniżeniem głębokim u stopni ołtarza zaczyna Mszę św.

Dalej skrucha wywołuje wyznanie winy i sprowadza oczyszczenie: dusza wstępuje na górę doskonałości, gdzie upragnieniem serca wymodliwszy sobie zmiłowanie (*Kyrie*) otrzymuje od Boga pocałunek przebaczenia i szczęśliwa dusza hymnem chwalby śpiewa Gloria swoje. (W wiośnie duchowej wśród niebiańskich pociech).

Następuje druga epoka życia wewnętrznego: epoka oświecenia się duszy, wzrostu jej i rozwoju w rzeczach Bożych. Pan bierze ją

do szkoły swojej, — przede wszystkim uczy ją modlić się, — daje jej ducha modlitwy (*Kolekta*) — a modlitwa ściąga jej światło i coraz obfitszą łaskę w pracy. Następnie oświeca ją Pan pośrednio przez sługi swoje, — przez okoliczności i stworzenie całe, przez które do niej przemawia (Epistoła), bezpośrednio przez słowo swe wewnętrzne (Ewangelia), aż dusza już u Bożego Mistrza w prawdzie wyćwiczona, *wyznawa* Credo swojej wewnętrznej wiary.

Wtedy zaczynają się właściwe gody łączenia się z Bogiem: nadchodzi doba ofiary (*Ofertorium*). Jak dawniej wierni przynosili do ołtarza chleb i wino, które do Mszy św. służyć miały, tak dusza zawezwana miłością, niesie Panu wszystko swoje i siebie na dar: a tak dolawszy kropelkę ofiarności swojej do wina łaski w kielichu Pańskim, święci tę trzecią chwilę życia wewnętrznego pieśnią miłości z Aniołami razem, wyznając Panu, przez wyrzeczenie się wszystkiego, co z tej ziemi, że On Jeden Święty, (Sanctus).

Ale w zakonie Pańskim zawsze było prawo, że ofiara, mająca być złożona Bogu na całopalenie powinna była być bez żadnej zmazy, taka tylko bywała przyjęta w Kościele. I ofiara duszy też niepokalana być powinna; a któraż jest nią przed obliczem Pana? — aby się nią stała, potrzeba zatem przemienienia, przemienienia się jej całkowitego w Panu.

I dla niej musi nastąpić najświętsza chwila, konsekracja: gdy Pan wejrzawszy na go-

towość jej, wymówi nad nią wszechmocne słowo miłości i ogniem świętym strawi jej naturę i ziemskość, — i sam pocznie żyć w niej i nic w niej nie zostawiwszy z dawnego człowieka prócz zwierzchniej postaci — uczyni ją hostią, żertwą doskonałej woni na chwałę Ojcu swojemu w Duchu Świętym.

Wtedy dopiero szczęśliwa ta dusza, która rzec może: „A żywię już nie ja, ale żywie we mnie Chrystus"; — czystą swą modlitwą, bo miłością samego Ducha Św. wołającego w niej: „*Abba*" Ojcze, (Pater noster), wyjednywa łaskę dla swoich współbraci, nie tylko już dla siebie.

Zdaje się, że w tej duszy nic już z niej samej nie ma, lecz miłość nigdy nie mówi „dosyć". I święty jej Miłośnik chce jeszcze głębiej, wnętrzniej z Umiłowaną swą się zjednoczyć, aby — jeżeli się tak godzi powiedzieć, — ta, co Mu obca przez skażenie natury człowieczej, stała się Mu swoją przez łaskę i jakby jedno z Nim — i oto łamie hostię, — by cała jej istota wydała się na ofiarę miłości na wieki. — I wymawia w chwili tych przerodzin jej, słowo wielkie „fiat" powtórnego stworzenia nowego człowieka: „pax Domini sit semper vobiscum", słowo wiecznej szczęśliwości. Wtedy dopiero pokojem tchnąc, sama innym go udziela, — (Agnus Dei), — aż przyjdzie dla duszy owej doba ostatnia: Dokonanie się w pełni dzieła Bożego: Zjednoczenie, Komunia niewysłowiona duszy z Bogiem, w której On cały jej się daje i ona wzajem cała jakoby spożyta przez miłość Jego niknie w Nim

pogrzebiona — w śmierci sobie, żyjąca życiem zmartwychwstałym Chrystusowi i w Chrystusie Bogu. W życiu takim wszystko już tylko dziękczynieniem (postcommunio) i głoszeniem Pana, jakoby Ewangelią żywą, słowami każdego dnia życia opowiadaną, bo i w tej duszy Słowo Ciałem się stało, łaska wydała owoc: — miłość natchnęła ofiarę, — mistyczne ukrzyżowanie powtórzyło się na ołtarzu serca i w jedności z ofiarą Baranka: „który był zabity od początku“, z niekrwawą ofiarą Mszy św. pochwaliło Boga w Trójcy Jedynego na całą wieczność.

Ale jako w ciągu całej Mszy św. od początku do końca kapłan ustawicznie przerywa osobiste modły swoje, by się odwracać do ludu i słowami miłości go pozdrawiać i z nim wspólnie, a w połączeniu z całą niebieską bracią świętych, Bogu ofiarę Syna Jego składać, tak życie wewnętrzne duszy przeplecione ma być całe, od najwcześniejszej epoki do ostatniej, czynami miłości bliźniego. Nie ma doby tak pochłaniającej duszę w Bogu, wśród której nie powinna być gotową zwrócić się do współbraci i ręce miłośnie do nich wyciągnąć i oddać się z posługą, wiele razy potrzeba ludzka rzeczywista pomocy ich wezwie; bo jakkolwiek wnętrzne działanie Pana Jezusa, dzieło przemienienia duszy, dokonywa się w samej świątnicy najtajniejszych jej głębin, sam na sam z Bogiem (Kanon), — nie doznaje ono *przerwy* przez czyny miłości. — Owszem, wtedy nawet kiedy dusza rozmodlona w Panu, chroni się na samotność i cała zanurza się w bogomyślność,

jeszcze są chwile w modlitwie jej, w których pamięta, wspomina świat cały (Memento) — obejmując swą prośbą żywych i umarłych, grzeszników i sprawiedliwych, przyjaciół i wrogów, bliskich i dalekich, swoich i obcych, cierpiących i uciśnionych, całą współrodzinę wielką dziatwy Bożej.

Na koniec jak Msza św. jest obrazem żywym Świętych Obcowania, wśród którego ciągle powracają na usta kapłana imiona Aniołów, uwielbionych sług Bożych, a nade wszystko Najśw. Panny, tak życie miłości w duszy połączonej z Bogiem jest też jednym niebiańskim obcowaniem z Aniołami i Świętymi, a całe koniecznie ubłogosławione być musi opieką i miłością szczególną tej Matki nieporównanej, która jako pod krzyżem na Kalwarii spełniła wraz z Synem najprzedniejszą ofiarę miłości w sercu i w duchu, tak i na ołtarzu każdej duszy, kapłaństwem przedziwnym macierzyństwa swego, współświęci z Panem Jezusem całopalenie wewnętrzne na cześć Bogu.

S. Maria Gertruda, Niepokalanka

WZORY DO NAŚLADOWANIA

BRAT ALBERT I JEGO DZIEŁO

(1888 — 1938)

Są wielkie prawdy i wielkie wartości, które każdy człowiek uszanować musi, o ile nie jest osobnikiem anormalnym.

Do tych wielkich prawd i wielkich wartości należy bezsprzecznie: miłosierdzie i czynna miłość bliźniego...

I — dlatego to habit albertyński budzi odruchowo szacunek i sympatię, nawet u ludzi światowych, bo — każdy normalny człowiek widzi w tym szarym — jak gruda polskiej ziemi — odzieniu symbol miłosierdzia i czynnej miłości bliźniego.

A — oto: ani spostrzegliśmy się, że ten szary habit wędruje wśród nas pół wieku, całe lat pięćdziesiąt, jedno spore życie ludzkie. Taki już szmat czasu...

Mimo woli nasuwa się myśl, ujęta — może wbrew naszej woli — w formę rachunku sumienia wobec ...szarego habitu albertyńskiego.

Musimy spełnić — przynajmniej na to 50-lecie — nasz obowiązek obywatelski wobec Brata Alberta i jego dzieła, musimy stanąć bardzo blisko tego „najpiękniejszego człowieka pokolenia“ na przełomie XIX i XX wieku.

Uczynimy to dzisiaj.

Ale — jak?

Nie tylko przypatrzymy się postaci Brata Alberta i jego życiu, nie tylko poświęcimy chwil parę dziełu, przezeń zainicjowanemu i przekazanemu Odrodzonej Polsce, — ale również zastanowimy się nad naszą osobistą postawą duchową wobec spuścizny tego wielkiego Polaka, żołnierza, artysty i Świętego.

***

Jeśli na 50-lecie habitu albertyńskiego mamy się zająć Bratem Albertem i jego dziełem, to musimy stwierdzić, że największym dziełem Brata Alberta jest ... jego życie, przebogate i wspaniałe w treści, obejmujące trzy doniosłe dziedziny: żołnierskiego bohaterstwa, artystycznej twórczości i świętego apostolstwa wśród najbiedniejszych.

Bez słowa przesady można powiedzieć, że Brat Albert zamknął w swym życiu takie walory, iż można by nimi obdzielić... paru wielkich ludzi.

„Chwalimy się przed światem to tymi to owymi, chwalimy się wszystkimi i wszystkiem" — pisze słusznie Adolf Nowaczyński. „Zapomnieliśmy zaś chwalić się tym, że już przed zmartwychwstaniem i zjednoczeniem Polski żył wśród nas in odore sanctitatis nasz Albertus Magnus, niestrudzony kwestarz bez nogi, człowiek istotnie ewangeliczny". Autor wspomniany uzasadnia dlaczego winniśmy słusznie chlubić się Bratem Albertem, gdy pisze: „rany społeczne jak prostymi środkami leczyć — On wskazał. Że i dziś jeszcze żyć można po chrześcijańsku — On udowodnił. W erze idolatrii Cezarów, państw, państwa, państwowości, w erze troski tylko o masy, wyłącznie o masy — On znów przypomniał, że i najmizerniejsza jednostka, jeżeli cierpi, to już jest kimś"... („Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia", Poznań, wyd. I, str. 60 i n.)

I — trudno uwierzyć, że taki właśnie człowiek — mimo upływu przeszło 20 lat od jego zgonu († 25. XII. 1916) nie doczekał się wielkiego i wzorowego życio-

rysu, napisanego krytycznie i wyczerpująco... Mamy wprawdzie popularne książeczki, opisujące życie i dzieło tego wielkiego męża Bożego, np. ks. Czesława Lewandowskiego („Brat Albert"), ks. Władysława Staicha („Brat Albert"), Michaliny Janoszanki („Brat Albert — Adam Chmielowski"). Mamy opowiadania dla młodzieży Pii Górskiej pt. „Szary Brat", bardzo starannie wydane przez wydawnictwo „Verbum". Zofia Poreyko przygotowuje opowiadania dla dzieci o Bracie Albercie. Adolf Nowaczyński napisał nastrojową książeczkę, wspomnianą wyżej, pt. „Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia". Maria Morstin-Górska ogłosiła w kwartalniku „Verbum" (1936. I.) piękny szkic pt. „Adam Chmielowski — Brat Albert"). W pracy zbiorowej „Sól polskiej ziemi" ks. rektor Konstanty Michalski umieścił wartościową sylwetkę Brata Alberta (1937, str. 235-256). Ale... ciągle jeszcze brak nam większej, poważnej biografii.

Czas najwyższy, by powołane pióro fachowe podjęło się przedstawienia źródłowego życia i prac Brata Alberta. Tym bardziej, że popularne wydawnictwa zawierają szereg nieścisłości. Dość wspomnieć, że mając przed sobą trzy książeczki o Bracie Albercie, znajdujemy w nich np. trzy ...inne nazwy miejsca urodzenia naszego „polskiego Biedaczyny". U ks. Lewandowskiego czytamy, że się urodził we wsi Zgołębie, w miechowskim, u M. Janoszanki czytamy, że się urodził w Czernicy nad Wartą, aż wreszcie u Nowaczyńskiego dowiemy się, że ujrzał światło dzienne w Igołomii.

I istotnie w Igołomii, leżącej na pograniczu powiatu miechowskiego, nad Wisłą, urodził się 20 sierpnia 1846 Adam Chmielowski, późniejszy brat Albert, herold czynnego miłosierdzia zorganizowanego wśród najbiedniejszych. Maria Morstin-Górska nie bez słuszności zauważa, że: „Brat Albert, najwierniejszy uczeń świętego Biedaczyny z Asyżu ujrzał światło dzienne właśnie na tym powiślu proszowsko-krakowskim, które

ze wszystkich okolic Polski najsilniej przypomina słoneczną Umbrię..." (j. w. str. 63).

Jako sześcioletni chłopiec traci Adam Chmielowski ojca, Wojciecha, naczelnika urzędu celnego, a w kilka lat potem matkę. Opiekunowie wysłali go początkowo do szkoły kadetów w Petersburgu, a to dlatego, że — będąc synem urzędnika — mógł tam otrzymać bezpłatne wykształcenie. Mimo, że wybijał się wśród kolegów-kadetów, czując się źle w metropolii carskiej, przeniósł się do Warszawy i tam uczęszczał do gimnazjum. Po ukończeniu gimnazjum przechodzi w r. 1862 do Wyższej szkoły inżynierii rolnej i politechniki w Puławach.

W Puławach zastało młodego Chmielowskiego powstanie styczniowe. Nastrój, jaki tam panował, ogarnął i jego gorące serce. I on również — jak jego koledzy — był wtajemniczony w przygotowania do zbrojnego ruchu. Na równi ze swymi kolegami i przyjaciółmi niemniej niż w nauce ćwiczył się w fechtunku i władaniu bronią. Już w ostatnich dniach stycznia 1863 r. Chmielowski (i siedmiu jego najbliższych kolegów) uciekł z zakładu naukowego w Puławach, aby połączyć się z oddziałem Frankowskiego. W oddziale Frankowskiego przeżył późniejszy Brat Albert całą tragedię powstania styczniowego, na którą złożyły się: walka bez planu, niesnaski i zatargi wśród przywódców i niechęć mas chłopskich, nie rozumiejących celu powstania i nie przygotowanych doń. Puławscy ochotnicy brali udział w kilku ważniejszych potyczkach koło Kozienic i Kurowa, uczestniczyli z Langiewiczem w bitwie pod Miechowem. Pluton, w którym służył Adam Chmielowski, został zmuszony do przejścia przez Wisłę i rozbrojony pod Tarnowem przez Austriaków. Wraz z innymi powstańcami został następnie Chmielowski przewieziony do Ołomuńca i osadzony tam w więzieniu. Nie myślał jednak ...pozostać w więzieniu. Wraz ze swym towarzyszem, Franciszkiem Piotrowskim, postanowił uciec z ołomunieckiej kaźni. Udało się im to

przy zmianie warty. Wymknęli się w zabranych z wartowni czapkach i płaszczach żołnierzy austriackich. Po drodze pewien ksiądz czeski dał im ubrania cywilne i pieniądze na drogę tak, że po kilku dniach przedostali się do Galicji. Chmielowski przekradł się wkrótw Sandomierskie i przyłączył się tam do oddziału powstańczego Habicha. Potem został mianowany adiutantem Chmielińskiego.

Nie oszczędzał się w czasie potyczek, w które szedł z odwagą prawdziwego bohatera. Kilka razy cudem prawie wymknął się śmierci. Dwa razy Moskale zabili pod nim konia. W Glanowie podpalili Moskale dom, w którym się bronił z paru towarzyszami i tylko niespodziewany ich odwrót ocalił go przed spaleniem żywcem. Wreszcie 20 grudnia 1863 r. pod Trojaczyną — przejeżdżając z rozkazem przez polankę leśną — został ugodzony granatem rosyjskim, który strzaskał mu nogę i dwa palce ręki lewej. Po pewnym czasie znaleźli go powstańcy na polance, broczącego krwią, przenieśli go do pobliskiej chaty, ale — cofając się przed nadchodzącymi Moskalami — musieli go zostawić własnemu losowi. Tymczasem w nodze, źle opatrzonej, wywiązała się gangrena. W tym stanie zabrał go oddział strzelców finlandzkich. Na szczęście sumienny lekarz rosyjski, widząc wysoką gorączkę i niebezpieczeństwo, zdecydował się na amputację nogi Chmielowskiemu, ratując mu w ten sposób życie. Nogę odjęto mu powyżej kolana pospiesznie, bez znieczulania. Adam zapalił cygaro i gryzł je w zębach, by nie jęczeć na oczach wrogów, aż wreszcie stracił przytomność. W szpitalu rosyjskim noga zgoiła się ostatecznie. Po czym udało się rodzinie wywieźć go za granicę: po krótkim okresie studiów w szkole rysunków w Warszawie, gdzie spotkał się z dwoma towarzyszami z powstania, Benedyktowiczem i Maksymilianem Gierymskim.

W Paryżu sprawiono mu tak doskonałą protezę, że (mimo utraty nogi powyżej kolana) mógł chodzić

swobodnie, nawet bez laski. Toteż odtąd — jakby przestał liczyć się ze swym kalectwem. Z całą energią podjął się pracy nad uzupełnieniem studiów. Zrazu planował sobie, że w Gandawie ukończy swe nauki politechniczne, rozpoczęte w Puławach. Jednak inne były plany Opatrzoności Bożej. Z bogatej jego duszy trysnęły silne uzdolnienia i żywe zainteresowania w dziedzinie malarskiej.

I malarstwo miało się stać treścią drugiego okresu jego życia...

Poważne życie artystyczne Chmielowskiego zaczęło się jednak dopiero w r. 1869, gdy — otrzymawszy stypendium Dzieduszyckich za poparciem Łucjana Siemieńskiego — wyjechał do Monachium. Tam zakwitł jego talent malarski w całej krasie. Znalazł się wnet w tzw. „sztabie", zyskując sobie szczerych przyjaciół i oddanych serdecznie kolegów w gronie artystów, jak świadczą wyznania Stanisława Witkiewicza, Józefa Chełmońskiego, a zwłaszcza dziennik Maksymiliana Gierymskiego. Z tym ostatnim łączyła Chmielowskiego najgłębsza przyjaźń. I na rękach Chmielowskiego umarł Maks Gierymski w r. 1874...

Po śmierci przyjaciela wyjechał do Warszawy, gdzie w pracowni Witkiewicza (w Hotelu Europejskim) malował i prowadził ożywione dyskusje z Chełmońskim, Piotrowskim i gospodarzem pracowni. Wówczas był już znany w Krakowie, gdzie wystawiono jego „Siestę włoską" i „Idyllę", przesłane jeszcze z Monachium. W Warszawie zaś zwrócił na siebie szczególniejszą uwagę przez artykuł „o istocie sztuki" w „Ateneum" (1876), a jeszcze bardziej przez swój obraz „Śmierć samobójcy". Wówczas też zaprzyjaźnił się z Henrykiem Sienkiewiczem i znakomitą artystką dramatyczną Heleną Modrzejewską-Chłapowską. Świetna artystka zrobiła na Chmielowskim olbrzymie wrażenie. Zaczął też malować jej portret. Jednak portret ten wkrótce zniszczył, by w jego miejsce namalować

swe własne „Marzenie", gdzie stoi sam w brązowym habicie na cmentarzu wśród lasu cyprysów i krzyżów.

Z Sienkiewiczem i Modrzejewską planował sobie wyjazd do Ameryki. Skończyło się jednak na planach. Pojechali bez Chmielowskiego. Chmielowski zaś odbył wówczas swoją ostatnią podróż artystyczną do Wenecji.

Był to czas, gdy w duszy Adama zaczęło się „coś dziać", co było jednak tylko jego własnością, z czym nie spowiadał się przed nikim z ludzi... Wrócił wprawdzie jeszcze do Warszawy, ale już w r. 1879 zamieszkał we Lwowie, zawierając nową serdeczną przyjaźń z Leonem Wyczółkowskim. Tam też powstały dwa obrazy: „Cmentarzysko rzymskie" i „Zachód słońca". Tam również wyszły spod jego pędzla dwa religijne obrazy: „Objawienie się P. Jezusa św. Marii Małgorzacie Alacoque" (będące obecnie własnością tworzącego się „Muzeum Brata Alberta" w Krakowie) i szkic obrazu „Ecce Homo".

Nie tu miejsce na szczegółowe omówienie twórczości malarskiej Adama Chmielowskiego. Należy jednak — choćby w paru słowach — odtworzyć jego walory w tej dziedzinie. Pozostaje pod silnym wpływem Böcklina, który ujął go tym, że: „nie ma w nim łamanych sztuk, tylko jakaś bolesna poezja, co za serce chwyta" — jak sam pisze do Siemieńskiego. „Bolesna poezja", romantyczna jest też główną dominantą w jego twórczości artystycznej. Wyznaje zasadę, że temat to tylko zewnętrzna szata dzieła sztuki, jego suknia, a jego istotą i treścią jest styl. Tym wyznaniem wybiega Chmielowski poza współczesne mu pojęcia estetyczne. Przystosowywanie się do gustów publiczności — wbrew wewnętrznej inicjatywie twórczej — uważał zawsze za ...zdradę sztuki. Imponował wszystkim znajomym niezależnością sądów i wywierał duży wpływ na otoczenie. Między innymi jego krytyczny sąd o Matejce wpłynął niewątpliwie na opinię Witkiewicza o „Krakowskim mistrzu". Uchodził za świetnego korektora i — przed wystawą — przyja-

ciele zawsze zasięgali jego rady co do wyboru najlepszych obrazów. Ale nade wszystko był Chmielowski mistrzem w kolorze.

Talent, wartości osobiste, przyjaźń kolegów-artystów, wszystko składało się na zapewnienie jak najlepszych warunków do rozwoju kariery malarskiej Chmielowskiego. Ale już wówczas — w pełni rozmachu artystycznego — stawały w poprzek jego uzdolnień i zamiłowań artystycznych dwa centralne zagadnienia, które miały się stać osią ostatniego okresu jego życia. Pierwszym z tych zagadnień było patrzenie pod kątem wieczności na życie. Stają przed nim konkretne wątpliwości: czy wyłączna służba sztuce nie jest bałwochwalstwem, — czy taki stan ducha, w którym (jak sam mówi) „za dobrze położony kolor sprzedałoby się przyjaciela", jest usprawiedliwiony wobec wiecznych przeznaczeń. Kołata do duszy jego pytanie, o którym pisze do Łucjana Siemieńskiego: „czy można, służąc sztuce, służyć Bogu?..." Drugim zagadnieniem były niesprawiedliwości społeczne, które widział lepiej i głębiej niż kto inny współczesny. I żywiej je odczuwał...

Oba te współczynniki wewnętrznych przeżyć splotły się na postanowienie, które zadecydowało o rzuceniu palety i kariery artystycznej.

Z drugiego współczynnika wyrosło jego najbardziej istotne powołanie i jego główny cel życiowy: praca nad najbardziej upośledzonymi. Symbolicznie wyraził to artysta-grafik, który zdobiąc okładkę książeczki „O najpiękniejszym człowieku mego pokolenia" — umieścił na palecie malarskiej serce z płomieniami, zeń buchającymi. Tak! Z tej palety wyrosło żywe serce. Płomienie buchnęły z tego serca. W ich cieple ogrzewały się „różne opuchlaki" (jak ich zwali przyjaciele Chmielowskiego), biedacy, żywe dowody niesprawiedliwości społecznej, wadliwej struktury społecznej. Dla tych „opuchlaków" otwierał drzwi swej pracowni malarskiej przy ul. Basztowej, aż go... wy-

prowadzili ze świata artystycznego, by wśród nich zamieszkał i oddał się im bez reszty, zobaczywszy w nich — szeroko otwartymi oczyma — jawiącego się mu Chrystusa.

Powołanie to apostolskie okupił bolesną próbą, którą przeszedł dziwnym zrządzeniem wyroków Bożych.

Co go skłoniło, że we wrześniu 1880 r. wstąpił do Zakonu oo. Jezuitów, trudno odgadnąć. Można domyślać się, że dawnemu żołnierzowi zdawał się odpowiadać najbardziej zakon o dyscyplinie żołnierskiej i bardzo zdecydowanej fizjognomii ideowej.

W każdym razie P. Bóg sam zadecydował, że nie pozostanie w zakonie Towarzystwa Jezusowego, obraną przezeń drogę przekreślił, dotykając go dziwnymi mrokami duchowymi, graniczącymi niemal z obłąkaniem. Stąd jego pobyt w lecznicy dla umysłowo chorych. Bardziej jednak wyleczył go pobyt u jego brata, Stanisława, w Kudryńcach na Podolu. Wprawdzie i tam prawie cały rok ani słowa niemal do nikogo nie wymówił, w jakiejś niezbadanej nocy mistycznej, ale po roku „obudził się" i przejrzał, znajdując w Trzecim Zakonie św. Franciszka wzór własnego życia i dalszej pracy. Oddał się też z całym zapałem propagandzie tercjarstwa po wsiach okolicznych. Musiał jednak opuścić Kudryńce i swoje apostołowanie, które nie podobało się czynownikom rosyjskim. Pod grozą zesłania na Sybir kazano mu opuścić granice państwa rosyjskiego.

Stanął na bruku krakowskim — oko w oko z koniecznością decyzji o dalszym swym życiu.

Decyzję tę przyspieszyło bezpośrednie zetknięcie się z nędzą wielkomiejską, „poślubił" biedę jako wybrankę swoją na zawsze... Dla wielu decyzja ta była trudną do zrozumienia i nic dziwnego. Bo — przecież nie łatwo znaleźć pomost pomiędzy życiem artysty-malarza i wytwornego arystokraty ducha, a tym życiem, które całe stopiło się w oddaniu biedzie —

bez reszty. Ale powinniśmy spróbować — przynajmniej częściowo — odpowiedzieć: gdzie był ten pomost.

Przed tym punktem zwrotnym w „dziejach duszy" Brata Alberta, jak przed progiem nie do przebycia, zatrzymują się jego biografowie. Oczywiście, o ile chodzi o zgłębienie tajemnicy od strony osobistej. Bo od strony (jeśli się tak wyrazić godzi!) zewnętrznej sprawa jest ułatwiona. I wszyscy biografowie zgodnie wysuwają tu głęboki wstrząs w duszy Brata Alberta, wywołany przejrzeniem nawskroś nędzy przedmieść i zaułków miejskich.

Nam — wszystkim — chodzi tu jednak o jeszcze jeden krok dalej: w głąb.

Chodzi nam o odpowiedź na pytanie: dlaczego ten żołnierz-bohater i artysta-malarz przerzucił się w dziedzinę franciszkańskiej biedy i znalazł w niej szczęście i cel swego życia? Dlaczego odnalazł się w niej cały, tak jak przedtem najpierw w bohaterstwie walk powstańczych, a potem w twórczości artystycznej? Jaki pomost ideowy łączy duszę żołnierza i artysty-malarza z... — grubym szarym habitem franciszkańskim i tym wszystkim, czego ten szary twardy habit jest symbolem?

Odpowiedź na te pytania nie jest łatwa.

Zdaje mi się jednak, że częściową przynajmniej odpowiedź znajdziemy w ujęciu beztroski, która jest wspólna żołnierce i życiu artystycznemu i... — biedzie. Oczywiście, że beztroska ta ma inne oblicze w życiu żołnierskim, inne w życiu malarza-artysty, inne wreszcie pod szarym habitem albertyńskim.

Inne oblicze — jednak — nie zmienia zasadniczej nuty beztroski, która przewija się przez te trzy etapy życia Brata Alberta.

Rzecz oczywista, że wprowadzenie pojęcia beztroski w znaczeniu pospolitym (powiedzmy: słownikowym!) byłoby profanacją świetlanej postaci Brata Alberta.

O jaką tu beztroskę chodzi, to najlepiej chyba ilustruje nam świetny nowoczesny pisarz duchowny, O. Piotr Charles, Jezuita, w swej (niezmiernie ciekawej i czarującej barwnością obserwacji) książce pt. „Modlitwa na każdą godzinę", wydanej również w przekładzie polskim jako trzydziesty tom cennej „Biblioteki życia wewnętrznego". Znakomity ten autor pisze: „w głębi każdej prawdziwej cnoty musi znajdować się wspaniała, królewska beztroska..." Oczywiście, że niewielu znaleźć można takich, którzy rozumieją wspaniałe, wprost królewskie piękno tej beztroski ewangelicznej. Dlatego słusznie zwraca się O. Charles z pytaniem:

„Kto z nas zgodziłby się wziąć wszystkie tobołki którymi się otacza, złożyć je w wielki stos przy drodze, opuścić wszystko bez spisu, bez wspomnienia... i pójść dalej, cicho śpiewając Magnificat dusz wyzwolonych i pieśń ośmiu błogosławieństw?"

Ci, co umieli tak czynić, tworzyli zawsze w dziejach kadry Świętych.

Umiał to uczynić Brat Albert właśnie dlatego, że był przedtem żołnierzem i artystą.

Żołnierz nie zna co to przywiązanie do „tobołków". Idzie pełen radosnej beztroski, bo mu grają w duszy surmy wielkiej pieśni o Ojczyźnie i jej sławie...

Artysta „w duchu i prawdzie" również jest pełen beztroski, bo w duszy gra mu pieśń nad pieśniami o pięknie. Dlatego w jego duszy również nie ma miejsca na przywiązanie do „tobołków".

Te dwa współczynniki psychiczne: żołnierski i artystyczny stworzyły wspaniałe podłoże pod nawskroś ewangeliczną beztroskę, nacechowaną głęboką nadprzyrodzonością i posuniętą do bohaterskiego samozaparcia. To samozaparcie heroiczne każe Bratu Albertowi zaniechać pracy malarskiej, bo w niej widział jeszcze ślady „przywiązania do tobołków".

Wpatrzony w ubogiego Chrystusa i Jego najwierniejszą kopię, św. Franciszka z Asyżu, zda się głosić

to, co później kto inny ujmie w te niezapomniane słowa:

„Wszystko, cokolwiek zdziałano wielkiego na ziemi, urzeczywistnione zostało przez ubogich, a skarby duchowe ludzkości nie przechowują się w kasach ogniotrwałych, ale w duszach opróżnionych z wszelkich przywiązań, a pełnych jeno niebieskich radości" (Charles) i dodajmy — beztroski.

Zaznaczyłem powyżej, że w należytym ujęciu beztroski ewangelicznej widzę częściowe rozwiązanie zagadnienia przełomu w „dziejach duszy" Brata Alberta.

Na pełne rozwiązanie tego trudnego zagadnienia musi się złożyć znacznie więcej elementów.

Tu rozważyliśmy — pokrótce — tylko jedno podejście do zagadnienia, tak żywo nas obchodzącego.

Wyrażamy przekonanie, że — jednak — nie powinniśmy omijać tego problemu, ale raczej starać się zbierać skwapliwie przyczynki i spostrzeżenia, które z czasem złożyły by się na pełne — o ile to możliwe — wyjaśnienie: jakie drogi wewnętrzne poprowadziły Brata Alberta, żołnierza i artystę na miarę nieprzeciętną, pomiędzy biednych i bezdomnych.

Jest to obowiązek tych, którym drogą jest osoba Brata Alberta.

Zdecydowawszy się na poświęcenie dla najbiedniejszych, nieraz wyrzutków społeczeństwa, — „zrozumiał, że — aby móc mieć wpływ na tych wyrzutków społeczeństwa — nie można przychodzić do nich z zewnątrz, choćby z najlepszą wolą. Trzeba związać się z nimi wspólnym ubóstwem, mieszkać w ich norach i dopiero tam rozbudzać w nich stopniowo godność człowieczeństwa, przywaloną nędzą i grzechem..." (Morstin-Górska „Verbum", 1936, I, 83).

Zaczęło się to od ogrzewalni magistrackiej przy ul. Skałecznej w Krakowie i trwa po dzień dzisiejszy w Krakowie i innych miastach. Nie mamy zamiaru kreślić szczegółowej statystyki placówek, które wyrosły z heroicznego postanowienia Adama Chmielowskie-

go. Wystarczy wspomnieć, że Bracia Albertyni mają dziś 15 placówek, liczba domów Sióstr Albertynek przekroczyła cyfrę 40.

Dopiero po śmierci Brata Alberta powstały — zgodnie z nowym kodeksem prawa kościelnego — „konstytucje" zgromadzenia Braci Albertynów i zgromadzenia Sióstr Albertynek, oparte na wskazówkach założyciela i na ustalonych zwyczajach. Zatwierdzenie ich przez władze kościelne nastąpiło w r. 1928, tzn., że w br. święcimy dziesiątą rocznicę tego ważnego dla obu Zgromadzeń aktu prawnego.

Kolebkę Zgromadzenia Braci Albertynów ustalamy na rok 1888, w którym Brat Albert złożył śluby w ręce ówczesnego księcia-biskupa krakowskiego, kardynała Albina Dunajewskiego. Sam Brat Albert zresztą upewnił nas co do tej daty. Kiedy mianowicie w r. 1898 budowa klasztoru albertyńskiego na Kalatówkach w Zakopanem jeszcze nie była wykończona, Brat Albert zwrócił się do ówczesnego proboszcza zakopiańskiego, ks. Kaszelewskiego, z prośbą o poświęcenie kaplicy i budynków klasztorku. Ks. Kaszelewski radził odłożyć poświęcenie do czasu wykończenia budowy. Brat Albert jednak ponowił swoją prośbę, motywując tą okolicznością, że 25 sierpnia tego roku (1898) przypada 10-ta rocznica założenia jego Zgromadzenia.

SS. Albertynki datują się od r. 1890.

Ważniejszą sprawą od dat i statystyk jest wewnętrzny duch placówek Brata Alberta.

Dlatego pragniemy tu przytoczyć te zasady, które Brat Albert kładł jako fundamentalne podstawy swych przytulisk. Z ust Brata Alberta i z tradycji, przejętej odeń bezpośrednio, ustalić możemy trzy zasadnicze cechy ognisk albertyńskich.

Pierwszą więc cechą przytulisk Brata Alberta i głównym ich celem jest ratować ludzi w ostatecznej potrzebie się znajdujących: bez dachu nad głową, bez odzieży, bez kawałka chleba, albo w jakiejś wyjątkowej nędzy, kiedy jest potrzebna doraźna pomoc.

Z tego względu przytuliska stanowią jedną z nieuniknionych potrzeb miejskiego porządku, gdyż ratują nędzarzy od śmierci, zmniejszają liczbę chorób, zabezpieczają miasto i ludność przed rozszerzaniem i zwalczaniem zarazy, zapobiegają wielu nieporządkom, zgorszeniom, a dając ubogim bodaj to, co jest konieczne do życia, bronią ładu społecznego, wlewają oliwę na rozjątrzone rany mas wydziedziczonych.

„Człowiek — mawiał Brat Albert — który dla jakichkolwiek powodów jest bez odzieży, bez dachu i kawałka chleba, może już tylko kraść, albo żebrać dla utrzymania życia ; w tym bowiem nędznym stanie, najczęściej nie jest zdolny do pracy i niełatwo też ją znaleźć może. Jeżeli więc nie ma w mieście dla poratowania takich ludzi odpowiedniego zakładu pozostaje tylko do zastosowania względem nich działanie policji, sądów, więzień lub szpitala ; takie zaś zastosowania są o tyle fałszywe, o ile w skutkach ujemne".

Drugą cechą przytulisk Brata Alberta i dalszym ich celem jest zorganizowanie w tych domach pracy zarobkowej. „Temuż człowiekowi — mawiał Brat Albert — jeżeli już jest poratowany w ostatecznej potrzebie, należy się potem bezpośrednio otworzyć niejako furtkę do wyjścia z nędzy, inaczej bowiem prawie nie warto go było ratować. Stać się zaś to może tylko przez pracę zarobkową, bo nadzieja samodzielnego zarobku jest tu uczciwym, a do pracy i pilności dostatecznym zwykle motorem. Inicjatywa i wolność osobista, rzeczy każdemu człowiekowi najdroższe — które w działaniu dobroczynnym koniecznie uszanować trzeba — mogą pozostać w takim razie nienaruszone, owszem i pomimo nędznego położenia osoby ubogiej mogą zostać nietknięte".

„Każdy ubogi, który się przedstawi, znajdzie tutaj zimą i latem przytułek ; głodny i obdarty strawę, względnie zapomogę w odzieży ; głodny bez zajęcia,

a do pracy zdolny, pracę zarobkową w ułatwionych warunkach".

O tej pracy zarobkowej w przytuliskach pisał z pociechą Brat Albert jeszcze w 1892 r. „Zainstalowano tutaj fabrykę mebli giętych, która wiele rąk potrzebuje, wyrób słomianek, domową piekarnię, warsztat szewski. W domu zaś kobiet ręczne warsztaty tkackie, przędzenie lnu, wyplatanie mebli, polifurowanie i inne roboty". Taką zaś normę postępowania dał Brat Albert co do zapłaty za pracę ubogim w przytuliskach: „Jest ogólnie przyjęta zasada, żeby płacić za robotę ceny zwyczajnie używane, o ile to możebne, od sztuki i to w naturze lub w pieniądzach. Źle używający pieniędzy nie dostaje zapłaty na rękę. Nieumiejętni są żywieni i wspomagani, dopóki się nie nauczą zarabiać, słabi i niedołężni mają, wedle możności, ulgi w domu".

Trzeci zamiar i cel przyświecał Bratu Albertowi przy zakładaniu przytulisk ten, by ubodzy nie tylko byli poratowani w swych potrzebach koniecznych, a potem materialnie się podnosili przez pracę zarobkową, lecz kładł Brat Albert wielki nacisk i na poprawę stanu moralnego tychże ubogich, a to przez rozbudzanie u nich godności człowieka, chrześcijanina, a przede wszystkim przez urabianie w nich sumienia, uczciwości i prawdomówności. W tym celu działał na nich przez nauczanie prawd wiary, rozbudzał religijne uczucia przez dobry przykład, słowa życzliwe i przyjazne pouczenia i nieliczne praktyki pobożności.

Te zasadnicze podstawy, na których Brat Albert oparł swe przytuliska, ustawicznie słowem i pismem przypominał swoim Zgromadzeniom, tak Braciom, jak i Siostrom.

Przytoczywszy tu — na podstawie autentycznych zapisków ks. Lewandowskiego — naczelne zasady przytulisk albertyńskich, nie możemy przeoczyć jeszcze jednego bardzo ważnego szczegółu.

Brat Albert zbyt dobrze zdawał sobie sprawę: ile goryczy i bólu osiada w duszach upośledzonych społecznie ludzi, dlatego — „chciał, by atmosfera radości, jak promień słoneczny, padała na ubogich po przytuliskach; polecał urządzać dla nich jasełka i inne przedstawienia, a nawet sam jedną sztukę ułożył, którą odgrywano po przytuliskach..." (Ks. Lewandowski, str. 88). Tradycja albertyńska przekazała nam i ten szczegół, że sam Brat Albert siadywał wśród swoich „opuchlaków" i przygrywał im na skrzypcach...

Już za życia swego patrzył Brat Albert na piękny rozwój swych zgromadzeń i niewątpliwie z pełnym spokojem i radosną ufnością żegnał je, gdy w dniu Bożego Narodzenia 1916 r. zamykał oczy na wieki w Krakowie. Przepowiadał przed śmiercią zmartwychwstanie Polski i z pewnością widział — w świetle Bożym — radosną perspektywę dla swej spuścizny..., gdy szeptał „Te Deum" za wojnę światową.



Ostatni etap naszych dzisiejszych rozważań to — zastanowienie nad naszą własną postawą duchową wobec Brata Alberta i jego dzieła.

Na przestrzeni tych 50-ciu lat, które dziś ze wzruszeniem wspominamy, mamy — oczywiście — niewątpliwie do zanotowania sporo ofiar ze strony społeczeństwa katolickiego w Polsce. Kwestarz w szarym habicie Brata Alberta rzadko spotyka się z odmową. Albertyńskie domy i przytuliska rzadko (chyba — nigdy!) spotykają się z obojętnością władz, instytucyj społecznych itp.

Czy jednak półwiekowa wędrówka albertyńskiego habitu po ziemi polskiej znalazła należyty oddźwięk w szerokich masach naszego społeczeństwa?...

Czy idea Brata Alberta przyjęła się na polskim zagonie w tej mierze i w tych granicach, jakie podyktowało wielkie serce „Krakowskiego Biedaczyny"

i jakie ustala nędza, wędrująca nadal po przedmieściach i peryferiach większych środowisk, a teraz... niemniej swojsko czująca się przecież i na wsi?

Czy duchowy testament wielkiego żołnierza-bohatera, artysty-malarza z Bożej Łaski, ale przede wszystkim „ojca ubogich" i apostoła wśród bezimiennych i poza nawias wyrzuconych — został spełniony?...

Odpowiedź na te proste pytania, narzucające się w tym roku jubileuszowym — z całą siłą, nie może wypaść zadowalająco.

Dzieło Brata Alberta, wyrosłe z jego szlachetnego serca, które często podsłuchiwało uderzenia Serca Zbawiciela świata, — nie rozrosło się w żadnym stosunku ani do potrzeb społecznych, ani do naszych zobowiązań wobec duchowej spuścizny „Krakowskiego Biedaczyny".

Dlatego ośmielam się zauważyć, że najtrafniej uderzył w sedno naszych zobowiązań „na złoty jubileusz albertyński" Ks. Kardynał-Prymas Hlond, gdy w swym przepięknym liście do obecnego Starszego Zgromadzenia Braci Albertynów, Br. Wincentego, pisze 30 kwietnia 1937 r.:

„W pięćdziesięciolecie istnienia zgromadzenia Albertynów wołam nie o słowa uznania dla jego inicjatywy i zasług, lecz o czyn uznania, o katolicki czyn społeczny, urzeczywistniający ideę Brata Alberta!"

Jeśli społeczeństwo polskie pragnie należycie odpowiedzieć na zobowiązania, płynące z tegorocznego jubileuszu albertyńskiego, musi przystąpić do: „realizacji katolickiego czynu społecznego, urzeczywistniającego ideę Brata Alberta".

Jak się do tej realizacji zabrać?

Przede wszystkim trzeba:

1°) dobrze zapoznać się z ideą Brata Alberta, a po jej poznaniu —

2°) trzeba zakasać rękawy do współpracy ze spadkobiercami Brata Alberta, tzn. ze zgromadzeniem albertyńskim.

By temu podwójnemu zadaniu sprostać, trzeba naszą pracę zorganizować. Dlatego to w czerwcu 1937 r. rzuciłem — na łamach „Głosu Brata Alberta“ — myśl powołania do życia „Kół przyjaciół dzieła Brata Alberta“.

Wychodziłem z tego założenia, że tylko zorganizowany wysiłek może liczyć na pełne powodzenie. Ten pewnik przecież sprawdza się w rzeczach wielkich i małych.

Niewątpliwie nie brak wielu szlachetnych porywów, planów i wysiłków, gdy chodzi o współpracę z wielką spuścizną Brata Alberta. Ale — śmiem twierdzić, — że porywy te i plany i wysiłki nie mogą się wykazać dużym (względnie: przynajmniej zadowalającym!) rezultatem, bo nie są skoordynowane, nie są ujęte w jedno łożysko i ideowe i praktyczne.

Dlatego wystąpiłem z propozycją powołania do życia „Kół przyjaciół dzieła Brata Alberta“.

Sądzę, że „Koła“ powyższe powinny powstać przede wszystkim w tych miastach, gdzie pracują Bracia Albertyni, gdzie są żywe ślady spuścizny Brata Alberta, gdzie Jego duch apostolski promieniuje poprzez ogniska pracy albertyńskiej. Ale — oczywiście — i w innych ośrodkach powinny powstawać wspomniane „Koła przyjaciół“. I tam miałyby za zadanie: propagandę idei albertyńskiej i przygotowanie terenu pod nowe placówki dzieła albertyńskiego.

By zapewnić „Kołom“ tym żywotność, trzeba z góry obmyślić plan pracy dla tych placówek. Wiemy bowiem, że każde zrzeszenie zaczyna zamierać jutro, skoro dziś braknie mu konkretnie wytyczonego i „po imieniu“ naznaczonego przedmiotu działania, pracy.

Mam tu na myśli sekcje stałe i sekcje, powoływane do spełnienia pewnego zadania (że się tak wyrażę) sezonowego.

Jeżeli chodzi o pierwsze (tzn. stałe), to na pierwszy plan wysuwa się tu: sekcja propagandowo-prasowa. Narzuca się też konieczność powołania zaraz do życia sekcji finansowej, którąby miała (w naszych planach na przyszłość) ważne niezmiernie zadanie do spełnienia, choćby tylko na odcinku mobilizowania pomocy materialnej dla istniejących już zakładów albertyńskich. A przecież — perspektywa zdobywania środków (fundacyj, zapisów, legatów, subwencyj, zbiórek itp.) na nowe gniazda albertyńskie — otwiera tu przed nami bardzo poważne i szerokie pole działania.

Inne dziedziny pracy wyłonią się łatwo, gdy tylko uświadomimy sobie ideę Brata Alberta, gdy — przepojeni ideą czynnej miłości dla najbiedniejszych — zdecydujemy się podać rękę Braciom Albertynom, do rozbudowy spuścizny „Biedaczyny Krakowskiego" tak intenzywnie, by ten rok jubileuszowy stał się przełomowym, by dał impuls do ożywienia i należytego rozmachu tej pracy, która wszędzie znajdzie podatny grunt, gdzie tylko kilka szlachetnych serc bije...

Wierzę w mobilizację serc szlachetnych!

Wierzę również i w to, że ten rok jubileuszowy obudzi niejedno powołanie albertyńskie...

Wierzę, że „Biedaczyna polski" — Brat Albert — stanie się przez ten jubileusz bliższy całej Polsce, dla której przelewał krew, żył i pracował — jak Święty!

Ks. Henryk Weryński

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY

Ks. Dr STEFAN MARIAN SYDRY, Marianin: *Msza św. życiem naszym.* Warszawa 1938, stron 103.

Niedawno wyszła w Bazylei ciekawa książeczka ks. Madera pt. „Zurück zur hl. Messe". Ruch liturgiczny, obejmujący coraz szersze koła, zdaje się brać te słowa za hasło i powraca na całej linii do Mszy św., robi z niej to, czym powinna być, — centrum całego życia naszego duchownego. I u nas w Polsce zaczynają się coraz częściej pojawiać książki i książeczki traktujące o Najśw. Ofierze; od niedawna wychodzi nawet miesięcznik popularny w Potulicach pt. „Msza święta". W styczniu tr. ukazała się w Warszawie zgrabna broszura obejmująca 103 str. druku pt. „Msza św. życiem naszym" przez O. Sydry, Marianina. Czcigodny Autor wykazuje, jak doniosłą rolę dla zbawienia dusz naszych odgrywa ta niewypowiedziana T a j e m n i c a w i a r y i przechodzi kolejno wszystkie modlitwy i obrzędy, które z biegiem wieków otoczyły Najśw. Ofiarę; tłumaczy ich powstanie, ich znaczenie, przeplatając rozważaniami dogmatycznymi i ascetycznymi, które nieraz przechodzą w modlitwę. Zachęca do czynnego i rozumnego (a raczej „rozumiejącego") udziału we Mszy św., „bo kto nieprzygotowany znajduje się w kościele w czasie sprawowania Najśw. Ofiary, jest nie jako wierny, ale jakoby niewierny, jakoby martwy, jak jeden z posągów zdobiących świątynię..." (str. 17).

„Poznanie liturgii wielce dopomaga do rozwoju życia wewnętrznego. Wszystko co ma związek ze Mszą

św. ... posiada potężną wymowę, zdolną nas natchnąć najwznioślejszymi myślami i uczuciami... Poznanie tych skarbów prowadzi do wytworzenia atmosfery szczerej i głębokiej pobożności, atmosfery nieodzownej w szkole świętości, jaką jest Kościół" (str. 19).

Książeczka zasługuje na rozpowszechnienie, zwłaszcza między młodzieżą szkół średnich; w bibliotekach sodalicyj, związków katolickich itp. znajdzie szerokie zastosowanie.

S. M. R.

O. KAROL PARRA T. J., *Przyjaźń Chrystusowa*, Warszawa 1938, stron 107, Wydawnictwo XX. Jezuitów.

Autor w podtytule nazywa tę książeczkę skromnie: dziewięciu rozmyślaniami nad Ewangelią o Łazarzu (św. Jan XI). Tak, mamy tu cykl rozmyślań, opleciocionych dokoła „Ewangelii o Łazarzu", ale zarazem jest to introdukcja wnikliwa w należyte pojęcie i należytą praktykę nabożeństwa do Serca P. Jezusa. Nabożeństwo to, będące kwiatem życia katolickiego zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku, stało się tak popularnym, że — według słusznej uwagi Autora — może mu grozić „spłycenie". „Jego ogólne rozpowszechnienie rodzi obawy wprowadzenia form i praktyk, nie zawsze odpowiednich..." (str. 6).

I oto O. Parra daje nam oparcie w swej pięknej pracy, by każdy, który pragnie podsłuchać Serce Jezusowe, mógł nabożeństwo to czcigodne (i oparte na Ewangelii) ująć w nieskazitelnej czystości formy zewnętrznej i ducha, treści istotnej, bez przymieszki złudzeń.

„Zrozumieć i ujrzeć miłość, jaką nas Słowo Przedwieczne umiłowało, oto cel nabożeństwa do Najśw. Serca Jezusowego..." (str. 10). I należy pamiętać dobrze o tym, że: „wszystko, co tylko jest miłością Jezusa, należy do czci Najśw. Serca..." (str. 13).

A „całe Nabożeństwo do Najśw. Serca zmierza do tego, aby w duszach ludzkich zapalić gorącą miłość, która by płonęła z chęci oddania się i poświęcenia Sercu Jezusa..." (str. 20).

Dlatego Autor prowadzi nas do Betanii, która jest domem tych, których P. Jezus całym Sercem umiłował. Tam przecież najlepiej nauczymy się znać Go i kochać. Tam najgłębiej wnikniemy w tajniki Chrystusowej przyjaźni.

Śmiemy twierdzić, że Autor bardzo trafnie osnuł na dziejach przyjaźni Zbawiciela z rodziną Łazarza studium o przyjaźni między Bogiem a człowiekiem.

Budowa tego studium jest bardzo przejrzysta. Autor przedstawia w każdym rozważaniu najpierw treść ewangeliczną, — z uzupełnieniem, zgodnym z tą treścią, lecz uwypuklającym to, co mieści się w skrótach Ewangelisty. Następnie wysnuwa ogólne i zasadnicze elementy, które splatają się na pojęcie i praktykę przyjaźni pomiędzy Bogiem a człowiekiem. Wreszcie kończy dłuższą modlitwą — wynurzeniem. Akcenty w każdej takiej modlitwie są bardzo serdeczne, często podniosłe i porywające.

Dusze, pragnące raz jeszcze zajrzeć głębiej w Serce Jezusowe, powinny skwapliwie korzystać z tej sympatycznej książeczki! — Będą wdzięczni autorowi i wydawcom. Jesteśmy tego pewni.

Ks. H. W.

KS. STEFAN SYDRY, *Czcigodny Sługa Boży O. Stanisław od Jezusa Maryi Papczyński, i jego dzieło w świetle dokumentów.* Z przedmową ks. arcyb. Stanisława Galla. Warszawa 1937. Str. VIII + 300 + 1 tablica.

Założyciel Zakonu Marianów doczekał się wreszcie wyczerpującej, rzeczowo napisanej monografii. Poznajemy w niej młodość syna chłopskiego z Podhala,

niebezpieczeństwa grożące mu ze strony szkoły, wreszcie powołanie pijarskie. Widzimy dalej trudności w zakonie pijarów, prześladowanie „gorliwca“ Polaka ze strony ojców cudzoziemców, wystąpienie O. Papczyńskiego, borykanie się w walce o nową fundację, pomoc biskupa Wierzbickiego i osadzenie Marianów w Górze Kalwarii, w końcu starania o potwierdzenie Zakonu, podróż do Rzymu, powrót i śmierć świątobliwego O. Stanisława. Książka napisana spokojnie, bez nadmiernego przeładowania uczuciowością (które stanowi często wadę polskich żywotów świętych), daje nam poznać przede wszystkim człowieka skromnego, niezmordowanego pracownika na polu duszpasterstwa i wychowania młodzieży. Włoski, pijarski duch przemawiał nadal w nowym zgromadzeniu, które równocześnie przez kult mariański stało się wyrazicielem polskich tradycyj życia wewnętrznego. Autor podał krótkie sprawozdanie z głównego dzieła O. Papczyńskiego „Templum Dei Mysticum“. Jest ono dość rzadkie po bibliotekach i zgoła dla szerszych kół czytelników niedostępne. Było by rzeczą pożyteczną, by wydano je ponownie i to w przekładzie polskim. Literatura ascetyczno-mistyczna polska nie jest zbyt bogata w dzieła oryginalne. Szkoda więc, że dzieło wybitne, o doktrynie, jak można sądzić, zdrowej i twórczej, pozostaje w zapomnieniu. Może Autor zechce się podjąć polskiego przekładu tej książki założyciela Marianów? Gruntowne zbadanie źródeł wydaje się dowodzić, że już więcej nic poważnego ani przełomowego o O. Papczyńskim nie da się napisać, tym więcej, że o ile można sądzić ze słów Autora, i na Litwie nie zachowały się w rękach Marianów żadne ważniejsze rękopisy Założyciela. Natomiast nasuwa się życzenie, by ks. Sydry podjął się z kolei napisania życiorysu świątobliwego Marianina z XVIII w., O. Kazimierza od św. Józefa Wyszyńskiego, wsławionego pracami w Polsce i Portugalii. Cześć świętych polskich dozna przez to nowego wzmocnienia i wzbogacenia, jak ją wzboga-

ciło już dzieło o O. Papczyńskim, które zasługuje na najszerszą poczytność i uwagę. *K. G.*

QUILLUS HELENE, *Königin Hedwig von Polen.* Slavische Forschungen herausgegeben von Karl H. Meyer, II (Königsberg) Lipsk 1938. Str. 6 nlb. + 127.

Autorka niemiecka podjęła się napisania monografii Jadwigi, krytycznie traktując zarówno źródła, jak opracowania polskie, których uczuciowy stosunek do postaci Królowej budzi czasem zdziwienie cudzoziemców. Tym większą wartość przedstawiają jej sądy, zupełnie niemal zgodne z wynikami polskich badań. Zdaniem p. Quillus małżeństwo Jadwigi z Wilhelmem nie zostało spełnione, a wieści, rozsiewane o tym przez austriackiego księcia, są fałszywe. Jadwiga nie kochała naprawdę Wilhelma: była na to zbyt dziecinna (11 lat!). Upór jej spowodowany był przez obronę wobec grzechu, który rzekomo miała popełnić, zrywając z Wilhelmem, oraz przez chęć postawienia na swoim. Ofiara jej była ofiarą z własnej woli. Małżeństwo z Jagiełłą nie było szczęśliwe, choć wieści o kłótniach, zapisane przez Krzyżaków, są przesadzone lub fałszywe. Świętość Jadwigi nie jest dla autorki jasną. Zdaniem jej nie gorąca miłość Boga, a zimne poczucie obowiązków decydowały o postępowaniu Jadwigi. Autorka pomija legendę o modlitwie przed krucyfiksem na Wawelu, a w opisie życia wewnętrznego nie sięga do źródeł takich, jak pisma jej spowiednika, dominikanina Bitterfelda. Tu więc tkwi brak rozprawy, opracowanej poza tym bardzo sumiennie, z wyczerpującą znajomością źródeł i polskiej literatury przedmiotu. Rozprawa p. Quillus zasługuje na uwagę i bodaj na przekład polski. Ci, którzy pracują nad beatyfikacją Królowej, znajdą w niej nowe argumenty, gdyż badaczka, mimo całej ostrożności i samokrytyki nie zdołała oprzeć się urokowi postaci Jadwigi. *G.*

NADESŁANO DO REDAKCJI:

ŚW. KATARZYNA GENUEŃSKA, *Traktat o czyśćcu*. Z oryginału włoskiego przetłumaczyła S. Leonia, Niepokalanka. Warszawa 1938, Koło Studiów Katolickich. Str. 74. — Cena 1.50 zł.

Sól polskiej ziemi. Dzieje Sług Bożych. Warszawa 1937, Koło Studiów Katolickich. Str. 280. — Cena 3.50 zł.

GERARD LABUDA, *Polska i krzyżacka misja w Prusach do połowy XIII wieku*. Poznań 1937. Str. 235.

Annales Missiologicae — Roczniki Misjologiczne. Czasopismo roczne poświęcone zagadnieniom misjowiedzy. Poznań 1937. Str. 484.

Ks. ST. PODOLEŃSKI, T. J., *Rodzina w Sowietach*. Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1938. Str. 96.

Ks. Prof. J. KACZMARCZYK, *Wykład modlitwy pańskiej*. Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1938. Str. 110.

Ks. FR. KWIATKOWSKI, T. J., *Kazania pasyjne*. Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1938. Str. 175.

BAS. STEIDLE, O. S. B., *Patrologia seu historia antiquae litteraturae ecclesiasticae scholarum usui accomodata*. Friburgi Brisgoviae 1937, Herder. Str. 294.

Superiorum permissu. De licentia Ordinarii.

Redaktor: *O. Bernard Przybylski O. P.*